

ROLA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.
W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.
W W. Ka. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.
W Galicyi: Rocznie złr. 12.—Półrocznie złr. 6.

PISMO TYGODNIOWE, SPÓŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.
Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.
Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Swiat Nr. 4.

LICHWIARZE WARSZAWSCY.

(Szkice z życia).

IX.

Ten znowuż ma swój własny dom, ma ich nawet podobno dwa, ale drugi większy, zapisany jest na imię żony. W kraju w którym istnieje, tak zwany, kodeks kryminalny, zawsze lepiej mieć ukrytą, przynajmniej połowę majątku. Ludzie są złośliwi, a rzucić na kogo oszczerstwo nie wielka sztuka.

Ten ma dom, jest obywatelem miasta, płaci podatki, a przecie posądzono go już dwa razy, że handluje kradzionymi rzeczami.

Dwa razy! Całe szczęście że było mało dowodów, więc niewinność wyszła na wierzch, jak oliwa—ale kto zaręczy, że za trzecim razem, niewinność także na jaw wyjdzie, kto może zaręczyć?

Ten obywatel dorabia się, przecie nie cudzemi, tylko własnymi pieniędzmi. Prowadzi operacje kredytowe, a będąc doskonałym ekonomistą, wie że kredyt rzeczowy jest daleko pewniejszy niż osobisty. Nie chce więc wcale znać weksli, poręczeń, przekazów — tylko r z e c z y.

Takie jest jego zapatrywanie się kredytowe—to wynika z jego teorii i przekonań.

Dzisiaj ładny świat! Dzisiaj chcieliby nawet zapatrywania się na kredyt, ująć w jakąś kontrolę. Każą prowadzić książki i rachunki. Właściwie, co komu do tego, to jest sfera, całkiem prywatnych interesów! Nie dość że obywatel pożyczka drugiemu obywatelowi, że popełnia, bądź co bądź, czyn dobry; — jeszcze ma swoje dobre czyny, swoje cnoty, zapisywać do książki! Ciekawość co komu do tego? A jeżeli obywatel nie umie pisać? czy w takim razie ma trzymać pisarza żeby go wyręczał? To powiększa koszta — a kto ma koszta zapłacić? Przecież nie ten który daje pożyczkę, lecz ten który ją bierze. Przytem są teraz ciężkie czasy. Pieniądz jest drogi—a życie... niech Bóg broni, co za życie! Wszystko drogo. Tak utrzymuje każdy klient, a skoro utrzymuje że mu jest ciężko, niech mu będzie ciężko.

Obywatel, o którym mowa, zajmuje bardzo obszerne mieszkanie, nie dla tego żeby miał lubić komfort i przepych; ale że potrzebuje miejsca. Rozległe operacje finansowe zgromadziły do jego mieszkania, moc najrozmaitszych rupiec, gratów i wszelakiego rodzaju efektów.

Czego tam niema!

Zegarki, pierścionki, obrączki ślubne, biżuterya po-

śledniejszego gatunku; najbogatszy dział zastawów mieści w szafach komodach i szkrzyniach; dalej idzie lepsza garderoba, szale, suknie jedwabne, futra, potem samowary, miedź, różne naczynia i przedmioty mcsiężne, graty najrozmaitsze, meble, zegary, franki, pościel i wreszcie efekta mniej cenne: od zniszczonego paltota do przechodzonej czapki.

Obywatele tej kategorii, jako ów, o którym mówimy, są przekonani, że niema rzeczy bez wartości. Opinię tę podzielają również handlarze z Wałowej ulicy; a skoro każda rzecz ma jakąś wartość, to dla czego nie dać na nią pożyczki w stosunku czwartej części tej wartości. Składy są ogromne, zapchane rupieciami, — powtarzam — najrozmaitszemi: jest tam mnóstwo garderoby, mnóstwo przeróżnych rzeczy — ale podobno najwięcej łez i przekleństw ludzkich.

To się wszelako nie liczy. Ktoby liczył? W takim handlu, w takim interesie, nie chodzi o poezję, ale o rzecz.

— Jakaś baba, przynosi naprzykład poduszkę, wyciągniętą z pod głowy, umierającego męża i chce dostać pieniędzy na lekarstwo. Chce pieniędzy—więc lamentuje, płacze, opowiada że jest bardzo nieszczęśliwa. Co mnie do tego? ja także nie jestem szczęśliwy. Mnie każą zaprowadzać książki, chcą robić kontrolę! Tej babie nie grozi żadna kontrola — ona szczęśliwsza, nie ma takich kłopotów. Jej nikt nie zaczepia, nie posądza o kupowanie kradzionych rzeczy... Ona myśli że poduszka to majątek, chciałaby na nią pożyczyc całe dziesięć złotych—ja jej daję pół rubla,—ona płacze. Ja jej dokładam jeszcze dziesiątkę, ona płacze! Powiada że lekarstwo będzie kosztowało drożej i że dzieciom trzeba chleba kupić. Ja nie jestem aptekarz, ani też nie jestem piekarz, lekarstwo, ani chleb do mojego fachu nie należy. Ona powiada że jej mąż umiera. Poco ja mam to słuchać? — a przecie muszę słuchać. I co z tego mam? bardzo mało, prawie nic, całkiem nic, trochę procentu i trochę kłopotu, a pracy! Niktby nie uwierzył co przy takim interesie jest pracy! Od samego rana już potrzebują. Rano potrzebują, przed południem, po południu, wieczorem, ciągle. Mówią że potrzebują na chleb! Mnie dziwno jest, gdzie oni tyle chleba pomieszczą! ale co mi do tego? Kto przyniesie dobry zastaw dostanie pieniędzy, a na co jemu te pieniądze, to nie moja rzecz; czy mnie ma o to głowa boleć? Mogą je w Wisłę wrzucić, jak im się podoba. Cały dzień dosyć mam ujadania się z tą hołotą, do samej nocy; — a jak przyjdzie noc to także nie mam wypoczynku. Ledwie oczy zmruję, ledwie pierwszym snem usnę, już ktoś puka. Trzeba mu otworzyć—ja mam taką naturę, że każdemu otworzę, kto puka. Bo dla czego on puka?—dla tego że potrzebuje, że ma interes. Powiadają że noc nie jest do robienia handlowych interesów—ale gdzie to napisane? A jeżeli klient przez cały dzień śpi, albo ma jakie zatrudnienie — to kiedy będzie mógł znaleźć

czas na załatwienie interesów. Ma się rozumieć że tylko w nocy. Przytem może on mieć jakie przyczyny że chce zachować incognito, może nie życzy sobie spotkać się z kim na ulicy. Ludzie mają różne swoje upodobania. Dość że on do mnie przychodzi w nocy. Ja mu otwieram, ja pytam się co on chce? On powiada że ma coś do sprzedania. Ja wiem—pyta się czy ja nie zechcę kupić? Dla czego nie mam zechcieć? Jeżeli nie bardzo drogo—to i owszem. Co prawda taki co w nocy przychodzi nie lubi bardzo się drożyć. Nawet on bardzo tanio sprzedaje, tylko nie chce żeby go długo zatrzymywać, długo się pytać. Na co mnie ta ciekawość? Po co ja mam się pytać? Interes, to jest interes. Przyniesłeś towar, masz swoje pieniądze—idź gdzie chcesz. Ja nie potrzebuję wiedzieć z kąd ty przyszedłeś, dokąd pójdziesz, jak się nazywasz. Co mnie to wszystko obchodzi? Ja nie jestem twój ojciec, ani twoja matka, ani twoja policja. Ja nawet jak kupię co od takiego jegomościa, to nie chcę tego w domu trzymać, ale puszczam zaraz w kurs. Srebrną rzecz, albo złotą rzecz, odsyłam do mego szwagra, on jest trochę złotnik, nawet lepszy od wszystkich wielkich złotników, bo tamci robią ze złota pierścionki i ze srebra łyżki, a on z pierścionków i łyżek, robi złoto i srebro. On jest cały majster.

Ten krótki monolog maluje dokładnie działalność obywatela, o którym mowa. Ostatecznie nazywają go fanciarzem, lichwiarzem i paserem. Że to jest niegodziwe oszczerstwo łatwo zrozumieć. Zazdrość i zawiść stwarza szkaradne plotki i obrzuca błotem najporządniejszych ludzi. Pożycza on biednym ludziom na fanty—czy chcecie państwo żeby im pożyczal na „słowo honoru“, albo żeby dyskutował weksle robotników fabrycznych, nie mających w danej chwili zatrudnienia?

Powiadają że drze biedaków bez miłosierdzia. Prawda, on drze, ale przytem jest delikatny i nie przymusza nikogo do robienia transakcyi. Pozostawia to wolnej i nieprzymuszonej woli klientów. Chcą być obdzierani, więc są obdzierani, w tem cała sztuka. Kto nie chce, nie bywa obdzierany.

Co do paserstwa, powiedziano już było na początku. Oskarżenie złośliwe, nic więcej; prosta przyczepka. Wymysł tych ekonomistów, którzy nie mogą zrozumieć teoryi wolnego handlu.

Kto winien, że oni mają takie ciasne głowy?!

(d. n.)

„NARWAŃCY“

POWIEŚĆ

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

(Dalszy ciąg.)

— Pi, o tem dałoby się dużo powiedzieć — wyrzekł Borowski, wypuszczając z ust zgrabne kófećko z wonnego dymu.— Wziąłem to, co było chwilowo pod ręką, nie wyrzekając się oczywiście starań około poprawienia sobie losu. Przedewszystkiem trzeba gdzieś stanąć, a dopiero potem można szukać. Otóż stanąłem, dzięki protekcyom krewnych i znajomych, i mam nadzieję, że posunę się rychło w górę, do tego potrzeba jednak, aby się ludzie o mnie dowiedzieli.

— Składaj wizyty, zawiązuj stosunki!

— Nie zapomnę o tem, nie obawiaj się, ale to nie wystarcza. Trzeba żeby, od czasu do czasu, zabierał sam głos w jakiej sprawie.

— Wątpię, czybyś miał odwagę do publicznego wystąpienia. Z twoim zmysłem praktycznym...

— A właśnie, że o to mi idzie.

— Ty... dziennikarzem?...

Z pod szlacheckiej strzechy.

XLVI.

Pytacie mnie, co też my tutaj—my chreczkosieje, odgrodzeni od wielkiego świata, zakopani w naszych cichych zaściankach — co też my na tę „sprawę chłopską“, czyli na to najnowsze bałagulstwo, jakie się w pewnej części prasy warszawskiej, a nawet i prowincjonalnej, tak buńczucznie rozsiało i tak krzykliwie zmanifestowało?

Co my na to? Ha jeżeli chcecie odpowiedzi szczerej, to wam ją dam i owszem. My na to mówimy to, co się mówiło zwykło, skoro się widzi, że ktoś popełniając — z przeproszeniem — głupstwa, utrzymuje stanowczo i jest nawet głęboko przekonany, że dokonywa czynów wielkich i świętych. Jeden wzruszy ramionami, drugi się uśmiechnie, trzeci machnie ręką i wszyscy przejdą do porządku dziennego.

— Jaktó?—miałżebyś, mości chreczkosieju, ową „sprawę“ uważać za głupstwo?

— A, jako żywo, tegom nie powiedział, nie powiem i nie powie nikt pewnie z towarzyszków moich po pługu. Jako żywo—powtarzam. Sprawa pracy dla dobra ludu, onej „pracy u podstaw“, jest sprawą tak doniosłą, że jej lekceważyć nie wolno. W zasadzie jest to sprawa wagi pierwszorzędnej. Tylko dla tego właśnie że jest taką, nie godzi się robić z niej kpiny publicystycznej.

A czyż nie kpina jest takie traktowanie sprawy ludu, jakie widzimy w pewnych ultra-demokratycznych organach naszej prasy?

Co wy chcecie, pytają dzisiejszych chłopomanów, ludzie rozsądni, zrobić dla owego ludu, jaki w sprawie tej stawiacie program, i przy pomocy jakich środków chcecie go przeprowadzić?

„Najpilniejszym zadaniem naszym — odpowiadają zagadnięci—jest zachęcanie, nawoływanie inteligencji do pracy dla ludu i nad ludem.“

Inteligencji? a jakiej mianowicie? I otóż nie mówiąc już o innych, przy tem pierwszym pytaniu—chłopomani dzisiejsi krztuszą się — odpowiadając w końcu, mniej lub więcej ogólnymi, i mniej lub więcej niedorzecznymi, frazesami. Bo naturalnie, nawet najmniej z owych gwałtownych chłopomanów rozsądny wie o tem bardzo dobrze, że owa „praca dla ludu i nad ludem“, nie może być dokonywaną przez elewację frazesów, wymawianych w Warszawie, przy zielonych biurkach demokratycznych redaktorów. Muszą ją podjąć ci, którzy z ludem pozostają w zetknięciu bezpośrednim, a z tem właśnie jest bieda. Takich bezpośrednich wykonawców swego „nawoływania“, panowie warszawscy, opiekunowie „interesów chłopskich“, nie mają. Są tam wprawdzie, wśród tych „mas ludowych“, żywiły oświecone ale te właśnie, według opinij tych panów,—opiniij nieraz już

Bolesław rozsunął powieki szeroko i wpatrzył się w Borowskiego zdziwiony.

— Ale w tobie nie ma ani atomu temperamentu dziennikarskiego, ani najlżejszego błysku oryginalności, ani iskry zapału! Przepraszam cię, że mówię tak bez wszelkich obstron lecz znamy się od dziecka.

Borowski nie rozgniewał się wcale. Poglądził swoje bokobrodziki, popatrzył na końce wązkich butów i wyrzekł:

— Nie myślę też wcale zawojowywać świata, jak ty, przemawiać do narodu, kształcić go, uczyć, prowadzić, chciałbym tylko, aby ludzie zwrócili na mnie uwagę. Tyle drukuje się bredni, niedowarzonych elukubracij, studenckich eksperymentów, że nie obawiam się zupełnie ośmieszenia. Kończyłem przecież wydział filozoficzny i umiem logicznie myśleć. Nie napiszę ja tam nic bardzo mądrego, lub ognistego, ale jaki taki artykułik sklecę od biedy, a zrobi mi bardzo dobrze, gdy się ludzie dowiedzą, że należę do prasy. Godność dziennikarza daje w Warszawie wpływy, znaczenie.

— Wiesz, Fredku, że ty zrobisz karierę.

— Ma się rozumieć, że zrobię. A tyś myślał, że nie? Zdolności twoich nie posiadam, ale zmysłu praktycznego mam w jednym palcu więcej, niż ty w całym cielem.

— Może zostaniesz jeszcze wydawcą, redaktorem nawet?

zresztą zaznaczanych w „Roli”—nie są nic warte. One, te żywioty, ta „dzisiejsza inteligencja wiejska” „pracy dla ludu i nad ludem” może tylko przeszkadzać... Taka inteligencja — do niczego; a gdzie jest inna? Gdzie są ci, którzyby „nawoływanie” dzisiejszych chłopomanów warszawskich wziąć mogli do serca?

Niema ich, gdyż nawet (!) lekarze, adwokaci i t. p. myśląc o własnej karierze, nie zajmują się „sprawą chłopską” i wiedzieć o niej nie chcą. Któż więc ma ostatecznie tam, wśród ludu, pracować dla niego i nad nim? Do kogo właściwie chłopomani dzisiejsi przemawiają publicznie, kogo chcą namawiać, zachęcać, nawoływać? I w obec tego, równie zdaje mi się logicznego jak prostego pytania, cała elokwencya dzisiejszych opiekunów ludu, cała ich frazeologia na temat „spraw ludowych, całe ich wreszcie poświęcenie dla dobra i szczęścia „maluczkich”, wszystko to słowem o czym tak szeroko, a nawet tak gorąco rozprawiają w swych pismach—przepada, ginie gdzieś w przestworzu. Po tylu słowach, nie ma nic ani śladu czynu.

A jednak sprawa sama, sprawa zajęcia się ludem, sprawa nade wszystko podniesienia jego poziomu duchowego nie przestaje być, jak wspomniałem, sprawą wagi pierwszorzędnej. Powiem więcej. Samo nawoływanie, do „pracy dla ludu i nad ludem” postawione jako zadanie organu publicznego nie jest śmiesznem bynajmniej. Owszem zadanie to ważne, obowiązek to godny publicystów, mających pretensję do przemawiania w sprawach społecznych; tylko że „nawoływanie” takie, jakie dzisiaj słyszemy, nawoływanie w formie systematycznego besztania wszystkiego i wszystkich, co jeno rozwinięciem umysłowem i stanowiskiem społecznem po nad masę nieoświeconą wystaje,—prędzej „pracy dla ludu” szkodzić niż jej pomóc może.

Bo wyobraźmy sobie naprzykład organ antisemicki któryby „zachęcając i nawołując” ludność chrześcijańską do walki konkurencyjnej z żydami, zapewniał równocześnie, że ludność ta jest głupią, niedołązną, nikczemną, nikczemniejszą od żydów i że im w tej walce rady nie da? Jaki ostatecznie byłby cel owego „zachęcania” i „nawoływania”, i jaki jego skutek? Oprócz zuiechęcenia, innego rezultatu nikt chyba spodziewaćby się nie mógł, a rezultat taki byłby zupełnie naturalnym. Chłopomani warszawscy, pragnąc jak zapewniają, dobra ludu, a potępiając równocześnie wszystko co właśnie do tegoż dobra przyczyniać się może, popełniają niekonsekwencyę tak rażącą że doprawdy pojąć ich trudno. I sądząc z tej niekonsekwencyi możnaby ich raczej posądzić o brak wszelkiej dla ludu życzliwości...

Więc jakż się ma być rezultat tej całej gadaniny na temat spraw ludowych? Otóż na to właśnie pytanie radzibyśmy ze strony tych panów warszawskich rzeczników i przyjaciół ludu, usłyszeć jasną, kategoryczną i wyraźną odpowiedź. Radzibyśmy raz nareszcie dowiedzieć się o z y t y w n i e, kogo to oni mianowicie do „pracy dla ludu i nad ludem” wzywają? Bo jeżeli ci panowie nie są ani

— Czemuby nie? A ty będziesz moim współpracownikiem, moim murzynem. Wiesz, Bolku, to byłoby zabawne! Ja redaktorem, a ty moim murzynem.

Borowski rozśmiał się wesoło. To samo uczynił Bolesław.

— Co to, to nie — zawołał.

— No, no, kto tam wie. Do praktycznych należą stanowiska, a do was, zdolnych, ciężka robota, i sława naturalnie, ale po śmierci.

— Życzę ci szczęścia!

— Będę ci miłościwym chlebobdawcą.

Znów śmiał się Borowski. Jego samego zabawiła ta myśl hazardowna.

— Ale, ale — mówił — prawdopodobnie zapomniałeś o Kalinowie. Zabieraj się, pojedziemy razem. Pani Moszyńska mieszka u swojego brata, który ma tu w mieście duże znaczenie. Nie zaszkodzi zbliżyć się do niego.

Podczas, kiedy się Bolesław ubierał, Borowski chodził po pokoju i przypatrywał się różnym szczegółom. Widocznie lubił wszelkie błyskotki, bo oglądał z zajęciem przyciski, nożyczki, ozdobne ramy obrazów i cacka, rozrzucone po biurku.

— Jestem gotów—odezwał się Bolesław.

Borowski zmierzyl go uważnie.

— Fe, kto widział brać taki krawat. Nie modny, nikt

obłudnikami, ani... donkiszotami, jeżeli rzeczywiście chcą naprawdę coś zrobić dla dobra swojego społeczeństwa to dla czegoż mieliby swoich myśli i pragnień nie wyjawiać jasno i zrozumiale? — dla czego mieliby je kryć koniecznie we mgle takiego „nawoływania” którego zrozumieć ani ocenić niepodobna? *Hreczkosiej.*

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORII WSPÓŁCZESNEJ

przez Edwarda Drumont.

Tom II.

Paryż żydowski i społeczeństwo francuskie.

(Dalszy ciąg.)

Gdy zabrzmiała nuta tego Elejson, powstały uniesienia radości wśród tej publiczności wtorkowej, tej sławnej publiczności wtorkowej (wtorek jest dniem zbierania się arystokracji), w której dzienniki zachowawcze widzą zmartwychwstałą starą Francję. Wszyscy klaskali na zabój, żeby zrobić przyjemność żydom, którzy na to patrzyli.

O ileż wyżej cenę żydów wrocławskich. W r. 1876 śpiewano po kawiarniach parodyę pieśni *Lecho dodi*, pięknej melopei, która się śpiewuje w wilię Kippuru. Otóż żydzi przychodzili co wieczór, grozili pięściami i mówili artystom: „Spróbujcie!”

Co prawda, to pomiędzy rzekomymi wielkimi damami, które figurują bez ustanku na liście dzienników wielkiego świata, bardzo mała jest liczba tych, które należą do starej rasy francuskiej.

Amerikanizm opanował Paryż prawie tak samo jak semityzm.

Ileż to pieprznych historyj moglibyśmy opowiedzieć, gdybyśmy nie chcieli pozostać wiernymi zasadzie naszej mówienia tylko o tem, co się tyczy sprawy publicznej! Wielki pan, marzący o bogatym ożenieniu, zwykle bywa ohydnie wyprowadzony w pole. Pewne rodziny yankesów, które pochodzą właściwie z Niemiec, a żydowstwo swoje wylądowują pewnego pięknego dnia w Paryżu, z małym mająteczkiem, wynoszącym dwa albo trzykroć stotysięcy franków, który puszczając w ciągu jednego roku, robiąc hałas okrutny. Kronikarze dmą w trąby, dzienniki dobrze poinformowane haftują na wyszcigi bajeczne opowieści o olbrzymich kopalniach, o kolosalnych domach handlowych. W głowie Aryjczyka układa się cały romans! „Czyż przemysł nie jest królem świata nowożytnego? Niech żyje przemysł! Za te nieobliczone miliony odbuduję mój zamek, będę miał najpiękniejsze zaprzęgi w Paryżu, będę świadczył dobrodziejstwa...”

już dziś takiego koloru nie nosi. Barwy matowe są teraz w użyciu. Zmieńże to brzydactwo.

— Daj że mi pokój, chodź!

Pani Moszyńska stanęła u swego brata, pana Bogumiła Rodowskiego, radcy Towarzystwa kredytowego ziemskiego i obywatela powszechnie szanowanego.

Pan Rodowski nie wymawiał się nigdy ani brakiem czasu, ani brakiem pieniędzy, gdy szło o poparcie jakiejś sprawy godziwej. Hojny, uczynny, spieszący wszędzie, gdzie potrzeba było czy rady, czy pomocy, należał równocześnie do najświetlejszych rolników. W dobrach jego prowadzono gospodarstwo wzorowo. Z robotnikami obchodziła się administracya uczciwie, nie przeciążając ich pracą. Tak bowiem dziedzic przykazał.

Pan Rodowski zasługiwał ze wszech miar na szacunek, jakim go kraj otaczał.

Gdy Borowski wszedł z Bolesławem do salonu pana Rodowskiego, nie zastali w nim nikogo. Dopiero po chwili wbiegły panny, a za nimi wsunęła się pani Moszyńska.

Bolesław przypadł do swej matki chrzestnej i całował jej ręce. Ona ujęła go za głowę, odwróciła ją do światła i popatrzyła.

— Coś mi mój Bolko przybladł. Powietrze warszawskie nie służy parafianinowi—odezwała się starszuszka.

Bolesław stracił już rzeczywiście zdrowe barwy.

I małżeństwo przychodzi do skutku... Yankeska zostaje księżną, margrabiną, hrabiną. Przychodzi wreszcie chwila, w której szczęśliwy małżonek sądzi że czas byłby wymienić na monetę kilka brył rodzimego kruszcza, z tych kopalń niewyczerpanych, kazać sobie przysłać trochę pieniędzy z tych domów bankierskich czy handlowych.

Niestety! kopalnie zostały zalane, dom bankierski zbankrutował. Ojciec, który nie dał nawet wyprawy, ale który obiecał rentę ogromną, zwaryjował. Dla wielu przedbudzenie bywa ciężkie. Jeden godzi się z losem, sprzedaje swój zamek w którym gościł Ludwik XIV; sprzedaje przez licytację meble starożytne aż do parawana po prababę, chcąc zadowolnić kaprysy popsutego dziecka. Inny, zgnębiony ciosem, usuwa się z oczu ludzkich, kładzie się w łóżko, i, nie będąc chorym nie podnosi się z niego. Inny wreszcie porzuca wszystko, czmycha do Ameryki, bierze się tam do pracy, odkrywa prawdziwe kopalnie i powraca milionerem.

Niekiedy awantura się komplikuje. Z jakichś krajów zakazanych przybywają jeszcze bardziej zakazane ciotki, nie mające grosza przy duszy, ale lubiące za to namiętnie whisky; biedny mąż musi to wszystko karmić, poić i ubierać.

Powie kto może, że ofiary te nie budzą interesu. Zgoda na to; ale notuję, że prawdziwy francuz nie jest zupełnie w stanie wyciągnąć jakakolwiek korzyść ze swoich kompromisów z sumieniem; nie jest odpowiednio uorganizowany. Prosta droga obowiązku byłaby była zawsze korzystniejszą dla niego, nawet materialnie, aniżeli rzekoma zręczność, w której zawsze w końcu odgrywa rolę niedołęgi.

Czy to idzie o grę na giełdzie, czy o grę małżeńską, czy o grę polityczną, spekulantów finansowych, mężów amerykańskich, Machiawelów środka prawnego na zgromadzeniu narodowym w Wersalu, prawo o którym mówimy sprawdza się zawsze.

Z małymi wyjątkami, które zna każdy, te amerykanki są to zwykle kreatury bardzo nieprzyjemne i hałaśliwe, niesłychanie rozrzucone, mówiące głośno, śmiejące się na całe gardło, pierwsze zawsze do ekscentryczności w złym smaku, i, co dziwna, o tyle głupio pyszne ze swego świeżego szlachectwa, o tyle impertynentki, o ile wielkie damy dawniejsze były proste, pobłażliwe i dobre. Przyczyniły się one do nadania towarzystwu paryżkiemu tej rozrzuconej i dziwacznej fizygnomii, jaką przybrało od lat kilku.

Bolesnym jest w dodatku sposób, w jaki nagradzana bywa gościnnosc, z jaką przyjmujemy wszystkich, szorstkość jaką odpłacają za naszą uprzejmość.

Profesorowie szkoły sztuk pięknych, wbrew zresztą swojemu elementarnemu obowiązkowi, dają pierwszeństwa uczniom amerykańskim; sędziowie Salonu przyznają yankesom medale, których odmawiają starym artystom, którym sprawiłoby to radość, dla których byłoby to także reko-

mendacją wobec dzisiejszej głupiej publiczności. Wszystkiego co umieją malarze amerykańscy, nauczyli się u nas, od nas. Za to kongres uchwalił tak ogromne cło od dzieł sztuki, że równa się ono kompletnemu zakazowi.

A cóż to za epizod ów posąg Bartholdiego: *Wolność oświecająca świat!* Przez lat kilka, Komitet powtarzał na wszystkie tony: „Nasza najdroższa siostra Ameryka ubóstwia nas; ambasadorowie jej, we wszystkich stolicach dowiedli nam tego podczas wojny 1870 r., pijąc za powodzenie Prus i za poniżenie Francji; składajmy się na niesmiertelny pomnik miłości, która nas łączy.“

Kiedy wreszcie, dzięki ciągłym kołatanom o pieniądze, posąg został ukończony, amerykanie oświadczają, że go nie chcą za nic w świecie, że nie dadzą centyma na piedestał dla niego. Kongres nie chce uchwalić najmniejszej sumy. W kraju, w którym na byle co zbierają miliony dolarów w przeciągu kilku godzin, obywatele zrywają ramionami gdy im kto proponuje składkę na ten cel.

Czyż nie ścisła się serce na widok Francji odgrywiającej rolę biednego psa, który przymila się wszystkim, a któremu za te przymilenia płacą kopnięciem nogą?

Gdyby nie Gambettowie, Waddingtonowie, Spullerzy, gdyby nie ci wszyscy cudzoziemcy, którzy nas wplątali w zawikłane intrygi, tak jak ich dziennikarze wplątali nas w oszustwa subskrypcyjne, jakże wspaniała byłaby rola naszej ojczyzny! Wyjarzmiwszy Amerykę, oswobodziwszy Włochy, po walkach stoczonych za to co nam się wydawało słusznem, gdybyśmy pokonani w końcu, zachowali się byli spokojnie jako zwyciężeni, zbierający swe siły! Po dziesięciu latach tego pełnego chwały spoczynku, poproszono nas pokornie o wzięcie udziału w radzie europejskiej.

Z podobną publicznością żydzi i żydówki z teatru nie robią sobie subiekty, postępują sobie jak w kraju zawojowanym. Każda ich fantazja staje się ważnym wypadkiem. Paryż w lutym 1884 r. przez dwa tygodnie mówił o pani Fidès Devriès. Ze wszystkich aktorek hebrajskich ta zresztą jest najnieznanszą. Była w Operze, kiedy wtem, pewnego wieczora znudziła się, spostrzegłszy może iż sama nudzi, wyszła za mąż za dentystę żyda i opuściła teatr. Chwała Bogu! Ale, powoli! wy nie znacie żydów, oni zawsze muszą robić na złość bliźniemu. Pewnego wieczoru żydówki baronowe zapowiedziały tajemniczo powrót swojej rodaczki. „Wiecie? wielka nowina! Ta sliczna, ta zachwycająca, ta boska Devriès powraca na scenę!“ „Cóż to za zaszczyt dla nas!“ odpowiedziały księżniczki, przymilając się baronowym. Dzienniki wytresowane zapowiedziały powrót, potem zaprzeczyły temu, potem znów go zapowiedziały.

Po krótkim pobycie w Operze, gdzie ją sami żydzi oklaskiwali, pani Fidès Devriès zdecydowała się śpiewać w Theatre Italien, zgodziła się, przez czystą bezinteresowność, wzięść 68,000 franków za dwanaście przedsta-

Kilka nocy, przepędzonych przy biurku, starły z jego twarzy rumieńce.

— Może za wiele pracujesz mój chłopcze.

— O, nie, matusiu chrestna. Kocham moją pracę dzisiejszą, ona mi nic nie szkodzi — odpowiedział Bolesław i zwrócił się do Izabeli.

I ona spojrzała na niego troskliwie. Przywitani się, jak rodzeństwo, serdecznie, bez pustych słów.

I Wandy oczy ogarnęły Bolesława szybko, badawczo.

— Zostaniemy w Warszawie przez całą zimę — mówiła panna Lipnicka, promieniejąca radością.

— Karnawał tegoroczny zapowiada się bardzo wesoło — rzekł Borowski. — Widziałem już dużo osób ze wsi. Jeździłem przez cały dzień wczorajszy z wizytami.

— Prawdopodobnie zajmują i panu wizyty dużo czasu pytała panna Lipnicka, zwracając się do Bolesława.

— Zdaje mi się, że tej pracy poświęcę najmniej czasu — odparł Bolesław.

— Bolek nazywa podtrzymywanie stosunków towarzyskich zbyteczną mitręgą — wtrącił Borowski.

— I ma rację, zupełną rację — poparła pani Moszyńska swego syna chrestnego.

— Szkoda mi czasu na formalności — mówił Bolesław.

— Nudzę się zresztą w salonach.

— A jednak stosunki znaczą nieraz daleko więcej, niż

usilna praca i odpowiednie uzdolnienie — prawil Borowski. — Znam ludzi wielkiej nauki i samodzielnej głowy, którzy służą pod mazgajami i nieukami, a tylko dla tego, że nie chcieli nagiąć hardego karku. Gdzie nie można podejść, trzeba podpełznąć. Stara to, trywialna zasada, a mimo to zawsze świeża i skuteczna.

Małe, bystre oczęta panny Lipnickiej uczepliły się natrętnie twarzy Borowskiego, podczas kiedy wygłaszał powyższe ogólniki. Patrzyły na niego po raz pierwszy uważnie.

Wanda nie odpowiedziała nic, ale lekkie pochylenie głowy świadczyło, że podziela zapatrywania praktycznego młodzieńca.

— Czytaliśmy pański artykuł — wyrzekła, zwracając się powtórnie do Bolesława. — Winszujemy i prosimy o więcej. Spodziewamy się, że pan zajmie niebawem stanowisko, odpowiadające zdolnościom pańskim.

— Już je zajmuję, panno Wando, bo pracuję, bo zacząłem służbę publiczną — odpowiedział Bolesław. — Dygnitarstw, urzędów i t. p. zaszczytów nie pragnę.

— Wątpię, czy Bolek zajmie kiedykolwiek jakie wybitniejsze stanowisko — odezwał się Borowski.

— A to dla czego? — zapytała Wanda.

— Bo do wydobywania się na jakiś widoczniejszy postępek, potrzeba więcej sprytu, aniżeli talentu. Ludzie wy-

wień; potem naraz mąż kazał sobie podstępnie wydać „w imieniu swej żony, czek, którego ona nie miała prawa podnieść.“ Tutaj daje głos dyrektorowi Morelowi i powtarzam tylko to, co on pisał w dziennikach. Krótko mówiąc, śpiewaczka pojechała sobie do żyda Juliusza Cohena, który czekał na nią na dworcu kolei żelaznej w Lyonie, aby ją uwięzić do Monte-Carlo, podczas gdy impressario wyrwał sobie włosy, a drugi żyd, Hartmann, pisał listy zadziwiające do gazet.

Zwazcie zmianę, jaka się dokonywa nawet w obyczajach teatralnych. Nie ulega wątpliwości, że kulisy nigdy nie były przybytkiem cnoty, ale dobre serce, życzliwość dla kolegów odkupowały wiele rzeczy. Dejazet konając byłaby grała, byleby jakiegoś figuranta nie pozbawić czterdziestu susów. Ta żydówka, która wzięła bajeczną sumę za kilka nut niekiedy porządnie fałszywych, która podczas drugiego przedstawienia „Herodyady“ przyłożyła nóż do gardła swojego dyrektora, aby dostać trochę więcej złota, nie zadała sobie ani na chwilę pytania, czy jej odjazd nagły nie stanie się ruiną teatru, czy nie wyrzuci na bruk tego tłumu artystów podrzędnych, urzędników i t. p., dla których zamknięcie teatru jest ostatnią klęską.

Te względy są zupełnie obcemi wszelakiemu osobnikowi rasy semickiej, który innych za nic nie ma. Bo i dla czegoż miały się żenować? Dawniej, artystka któraby sobie pozwoliła podobnej awantury, byłaby przyjęta pociskami jabłek pieczonych, gdyby się była ośmieliła ukazać nanowo przed publicznością paryżką. Za naszych czasów żydzi potrzebowali tylko skinać na to co nazywają „arystokratyczną publicznością Opery,“ ażeby za ukazaniem się swoim w Styczeniu następnego roku, pani Fidès-Devriès została przyjęta gromem oklasków.

Od chwili, gdy żydzi zajęli w niem pierwsze miejsce, teatr sam przeobraził się zupełnie. Dopóki aktorzy byli prostemi chrześcianami, rzemiosło aktora było rzemiosłem niezbyt poważanem samo przez się, ale które wielkość talentu, postępowanie osobiste artysty podnosiły niekiedy wysoko. Trzeba być rzeczywiście pozbawionym zupełnie zmysłu moralności i zdrowego rozumu, żeby przypuścić, że w hierarchii społecznej błazen, którego zawodem jest być kopanym nogą w pewną część ciała dla zabawy tłumu, może być równym żołnierzowi, który naraża życie za ojczyznę, marynarzowi, który śmiało czoło stawia burzy, lekarzowi, który walczy z zarazą. Histryonizm, co prawda, panował we wszystkich cywilizacyach w rozkładzie będących. Ateny ujarzmione płaciły Polusowi talent dziennie. Ezopa i Roscyusza opychano złotem; Pylades i Battyl, dwaj komedianci, kłótniami swemi Rzym cały napełniali; Parys, którego Kaligula kazał obić różgami za to, iż się wahał przyznać, że cesarz lepiej śpiewa od Jowisza, przybierał miny socytaryusza dzisiejszej komedyi francuzkiej.

(Dalszy ciąg nastąpi)

soko uzdolnieni umieją pracować dużo i pożytecznie, umieją poświęcić siebie dla swoich uwidzeń, dla swoich idei, jak się wyrażają, ale owoce ich trudów i zapałów zbierają najczęściej sprytni.

Wanda spoglądała to na Bolesława, to na Alfreda. Nie rozumiała widocznie subtelnosci, tkwiącej w słowach Borowskiego.

— Alfred widzi rzeczy bardzo jasno — potwierdził Bolesław. — O ile mam już dziś pogląd na stosunki prasy warszawskiej, to zdaje mi się, że w nich ten drobny spryt odgrywa dużą rolę, a tego przymiotu nie posiadałem nigdy. Zresztą, wystarczy mi zupełnie stanowisko pisarza poczytnego i pożytecznego. Godnościami urzędowymi niech się inni cieszą.

— Jeżeli mi wolno sądzić — odezwała się Izabela — to mnie miałabym, że to stanowisko, o którym pan Bolesław mówi, należy do najzaszczytniejszych, jakie dziś w kraju naszym istnieją.

— I ja tak sądzę — wyrzekł Bolesław.

— Zapewne... ale... — mówiła Wanda.

— Chciałbym się założyć — wtrącił Borowski — że będę prędzej od Bolka osobistością wpływową, jeżeli się o to postaram.

— Pan ? ! ...

Wanda dziwiła się coraz więcej.

NA WYSPIE ZELANDYI.

Z notat podróznego

przepisał

St. PIAST.

(Dalszy ciąg.)

X.

Cały dół w Muzeum Thorwaldsena obrócony jest na pozostałe po nim posągi i płaskorzeźby. Urządzenie tego pomieszczenia dla arcydzieł jest wyborne. Każdy posąg stoi w osobnym gabinecie, krórego ściany pomalowane są na kolor czerwony, tak aby na tle tego koloru białosc statuy lepiej się wydała. To też wychodzą wszystkie one z tego tła plastycznie, ożywiają się niepospolicie, rzekłbyś nieledwie, że z tych ścian karminowych wchodzi w ich żyły pulsująca ogniem krew. Zwiedzający to Muzeum, wolni są, skutkiem takiego urządzenia, od tłoku zwyczajnego w innych zbiorach sztuki w Europie, mogą nieledwie sam na sam obcować z ukochanemi przez siebie posągami, rozmawiać z nimi na osobności. Panuje też skutkiem tego w tym przybytku spokój, jakby w świątyni, nie widać tu nigdy ścisku, nie słychać krzyków, każdy powoli jak cień przesuwa się z jednego gabinetu do drugiego, stoi tu tak długo jak sam chce, nie przeszkadzając nikomu i wzajemnie nikt nie maści mu spokoju.

Atmosfera jaka tu wiecznie panuje, udziela się magnetycznie wszystkim i każdy przejęty jest tem co tu uczuwa, najniesforniejszy nakłada na siebie wędzidło skupienia w sobie i porządku. Kiedym raz zwiedzał Muzeum Thorwaldsena, spotkałem się z liczną grupą studentów berlińskich, hulaszczko wczoraj przebiegających ulice miasta. Dziś zmienili się do niepoznania. Stąpali powoli i z powagą, szeptem nawet nie przerywali panującej tu ciszy, milczeniem oddawali hołd geniuszowi. Duch unoszący się w powietrzu jest bo tu tak nakazujący, że słuchać go każdy musi, że walczyć z nim nikt się nie ośmieli, nawet filister berliński, który zapatrzony w pewne swoje wielkości, sądzi w pysze obłąkanego ducha, że cały świat do niego należy, że wszędzie jest on u siebie w domu. Prawda, że Muzeum Thorwaldsena jest zarazem cmentarzem, prawda, że w jego wnętrzu widnieje grób, jakiemu równych niewiele znajdziesz w tym wieku w Europie, — mimo to przecież ta cisza majestatyczna jaka tu zawsze panuje, przejmuje cię podziwem, bo dowodzi i czci dla znakomitych popiołów i poszanowania dla wzniosłych płodów niepospolitej myśli ludzkiej.

XI.

Na górze w Muzealnym budynku, masz pamiątki po Thorwaldsenie. Rzewne to i drogie pamiątki. Tu drobny

— Czy to być może? — pytała, zwracając zdumione spojrzenie na Bolesława.

— Dlaczego nie? Redaktorami np. i wydawcami są w Warszawie kupy, przedsiębiorcy, różni amatorzy, którym idzie o czezy tytuł. Dlaczegożby Alfred nie miał zasiąść na krześle rozkazodawcy, gdyby się uparł? — mówił Bolesław.

— Pani może nie wie — rzekł Borowski — że i ja przystaję do dziennikarzy.

Wzrok Wandy przechodził z Bolesława na Borowskiego. Zaczęła ich porównywać, przypatrywać im się bacznie, zaczęła się domyślać, że w tem, co mówią, spoczywa może trochę prawdy. W tej chwili rozszedł się zakres jej wyobrażeń.

— Więc pan nie pożąda zupełnie stanowisk wpływowych? — zapytała Bolesława.

— W rozumieniu pani, zapewne że nie — odpowiedział.

— A w rozumieniu Izy?

Bystre oczki Wandy błysnęły chytrze.

— Sądzę, że zgodzimy się zawsze z panną Izabelą.

Izabela zarumienila się, a po usteczkach Wandy przemknął szyderski uśmiech.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

zbiór medali i monet będący własnością mistrza, tam modele i mniej lub więcej udatne szkice, a tam dalej zbiory książek i jakaś pozostałość z ubrania. Wszystko ustawione w porządku, wszystko zachowane dobrze od zniszczenia. Patrząc na to, poznajesz człowieka, który był tych wszystkich rzeczy właścicielem, wnikasz we wnętrze jego ducha i zabierasz z nim znajomość bliższą. Człowiek ze sfer ludowych wyszły, ukazuje się tu jak na dłoni, poznajesz cechującą go całe życie naturalność, ściskasz żyłastą i spracowaną jego dłoń. Nie dla efektu, nie dla świata, — oto cecha tego co tu widzisz, oto godło duńskiego rzeźbiarza, oto tytuł do powinowactwa duchowego z prostymi mistrzami Hellady dzielącymi czas między wykuwaniem Jowisza lub Minerwy z kamienia a surowemi robotami w ogrodzie lub przy warsztacie.

XII.

Roeskilde, Klampenborg, Kronborg, Helsingör, Frederiksborg i Fredensborg, należą do najpiękniejszych i najciekawszych stron Zelandyi. O Roeskilde wzmiankowałem już wyżej, zaznaczając, że tam się znajdują groby królów duńskich; powiem tu nadto, że leży ono nad brzegiem zatoki morskiej, że posiada obszerny kościół, w którym właśnie znajdują się te groby, i że zamieszkałe jest przez ludność, przeważnie żyjącą z rybołówstwa. Co Niedziela, pociągi spacerowe przywożą tu sporą liczbę mieszkańców Kopenhagi, którzy używają tu swobodnie wczasu, kąpią się w morzu, lub odwiedzają prochy swoich monarchów.

Klampenborg jest to miejsce kąpielowe. Prawdziwie urocze to miejsce. Nad samym brzegiem Zundu, w morzu zieleni i kwiecie, stoją tu domki w stylu szwajcarskim, przeglądając się kokieteryjnie w niezgłębionym lazurze wód. W nich i przy nich snują się od rana do zmroku tłumy dobrodusznych mieszczan, bawią wesoło i rozmawiają swobodnie przy kuflu wyborowego piwa. Na twarzach ich znać zadowolenie z życia, w obejściu ich znać pociągającą bezceremonjalność, w oczach przegląda poczciwość ich naiwnej duszy.

Wszyscy zjeżdżają tu w kąpielowym sezonie, bawią po kilka tygodni z rzędu, zawiązując z sobą znajomości serdeczną i rozjeżdżając się w różne strony kraju, przyrzekając, że się za rok znowu tu na czas jakiś zjadą. Prawdziwie też swobodne i przyjemne jest życie, jakie się w tej miejscowości, w gronie tych ludzi spędza, czuję się tam, jak u siebie w domu, i tylko język, jaki ci się o uszy obija, przypomina, że jesteś daleko po za granicami swojego kraju.

Przyjechałem do Klampenborgu w Niedzielę. Sezon właśnie był w pełni, tłumy ludu snuły się nad brzegiem morza. Spotkałem tam przeważną liczbę Duńczyków, ze względu przecie, że pobyt w tem miejscu do tańszych należy, miejscami natrafiałem na większe lub mniejsze grupy Niemców. Wszyscy oni ożywieni byli bardzo, wszyscy na łonie czarującej natury używali pełną piersią rozkoszy wiejskiej willegiatury, wszyscy Klampenborgowi nadawali fizyonomię niezmiernie nęcącą. Ruch też jaki tu dokoła spostrzegłem, wesołe i uśmiechnięte twarze jakie napotkałem, połączone z uroczym szmerem przypluwającego i odpływającego morza i jasną tarczą słoneczną, posyłającą ziemi swoje ogniste pocałunki, — wszystko to tak mnie zachwyciło i pociągnęło, że przepędziłem tu kilka godzin i z prawdziwym nieklamany żalem wsiałem na statek mający mnie na noc odwieźć do Kopenhagi.

Pewien Duńczyk, z którym się spotkałem w moich podróży opowiadał mi, że uczucia takiego doświadcza on zawsze ilekroć po mniej lub więcej długim pobycie, Klampenborg opuszcza i że za nic w świecie nie udałby się nigdy do wód zagranicznych, gdzie wedle jego zdania, ludzie po to tylko się zjeżdżają, aby się kosztem własnym śmiertelnie wynudzić. Zdanie to jest może przesadzone, bawią się ludzie wybornie w Ostendzie, bawią w Biaritz i Szeweningen w Holandyi, ale to wątpliwości nie ulega, że nigdzie nie otacza cię tak miłą rodzinną atmosferą, nigdzie nie czujesz się tak w otoczeniu swoim, jak właśnie w Klampenborgu. Następstwo to łatwego charakteru Duńczyków, tanioci wszystkich produktów życia, piękności okolicy, lub odczuwanej przez wszystkich, od czasu zwłaszcza ostatniej wojny z Prusami sympatii do wszystkiego co duńskie, nie wiem, to pewna przecie, że tak jest, i temu nie zaprzeczy nikt, kto czas jakiś tem powietrzem oddychał.

Co uderza w Klampenborgu, gdy się ze statku na ląd wysiadzie, to niezliczona moc kobiet i dzieci, snujących się tu w różnych kierunkach. Widok ich, przypomina nieco Landeck, ale ta woda kołysząca się tu bez końca i usposabiająca wszystkich do drzemki słodkiej, ta mnogość okrętów przesuających się tu jak szkła w kalejdoskopie i roz-

noszących po świecie całym tysiące ludzi i interesów tysięcy, ten brak sztywnych krzyżackich mundurów, tłumiących życie i ruch, gdzie się tylko pokażą, wszystko to sprawia, że Klampenborg daleko miłszy jest od Landeck, ponad którym roztacza się ponure niebo, nie ozłoczone nigdzie gwiazdą jaśniejszą. Jest to coś w swoim zaiste rodzaju i prawdziwie pozazdrościć można Zelandyi tego klejnotu przyrody, choć przecie, że morską tą wyspą obfituje w klejnoty inne, w rzędzie których Helsingör i Kronborg bezsprzecznie jedno z pierwszych miejsc zajmuje. Z Kopenhagi do Kronborgu można się dostać dwojaką drogą: morską i lądową. Morska jest znacznie dłuższa, w lecie jest dosyć uciążliwa, wybieram ją jednak, gdyż daje mi ona możność obcowania dłużej z morzem, które ponętne dla każdego zawsze, dla mnie szczególnie przedstawi powab, któremu się nigdy oprzeć nie mogę.

Wyjeżdżam więc z Kopenhagi rankiem, płynę między Danią i Szwecyą, widzę z bliska rozkoszne wille i domki rozsiane na wesołym brzegu Zelandyi, wsłuchuję się w chropawe duńskie dźwięki majtków napełniających powietrze swoim brzękiem, jem śniadanie, złożone z mocnej wódki i homara norweskiego z octem i pieprzem, — i... w kilka godzin potem, przez pomost rzucony okrętowi wstępuję na ląd stały.

Ten ląd, to: Kronborg. Wystrzelił on głęboko w morze, jak gdyby chciał dotknąć tuż tuż roztaczającą się Szwecyę, wychylił się i wygiął w bok, by jej podać dłoń pozdrowienia, ale zazdrosna woda, niechcąca zezwolić na ten sojusz pieniać się i hucząc, bliższe zetknięcie tamuje, nie pozwalając mu przyoblec kształtów rzeczywistości. Tak pomyślałem, patrząc na to; jakaś moc fatalnych wydarzeń rozrywa ciągle nie duchowej spójni trzech Skandynawskich narodów, choć wszystkie one chylą skronie ku sobie jakby w obawie wspólnego niebezpieczeństwa, wobec pożądlivosti germańskiego kolosu.

Kronborg jest fortecą i to podobno silną fortecą. Broni on Kopenhagi i przepływu przez Kategat, wygląda groźnie i niezmiernie buńczucznie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Za karę.

(Z życia cynika — opowiadanie.)

II

Jest we Francyi cudna strona,
Której cechą klimat zdrowy,
Jednostajny — to Mentona! —
Obcy dla niej szron zimowy.
Niebo wiecznie się tam śmieje,
Wiatr powszechnie zwan Mistralem
Od Alpejskich gór nie wieje —
Więc też wielu woła z żalem:
„Czemu tam jest klimat inny!
Czemu w mej rodzinnej stronie
Nie dojrzewa tak krzew winny?
Czemu słońce tak nie plonie?
Cóż my znamy? — deszczu strugi...
Po zagonach śnieg się kłębi...
Raz zadymka — raz szarugi...
Jak nie zlewa — pewno ziębi!
Wokół niebo chmurne, szare,
Więc i człowiek posepnieje,
Patrzy na świat jak za karę,
Duch w nim drzemie, serce mdleje;
Co tu począć?...” Łatwa rada:
Komu obmierzył kraj rodzony,
Niech na kolej żwawo siada
I wyrusza do Mentony;
Tam nad morzem wille liczne
Ozdabiają okolicę.
Przy nich planty egzotyczne,
Żyzne pola i winnice.
Szlak nadbrzeżny do Nicci
Jaworami ocieniony,
A przy drodze do Carei
Wzgórek pięknie ozdobiony —
To świątynia Annunziaty!
Dalej znowu zamek stary
W feodalne strojny szaty
Średniowiecznej Castellary,

Słowem, gdziebądź rzucić okiem,
Gdziebądź spojrzeć — wszędzie ono
Z nowym spotka się widokiem,
Wszędzie czar owieje łono.
Więc — powtarzam — łatwa rada,
Komu obmierzył kraj rodzony,
Niech na kolej żwawo siada
I wyrusza do Mentony!

Ranek Środy popielcowej.
Na gór szczytach brzask — świtanie.
Tam zaś, w willi parterowej,
Którą bankier na mieszkanie
Obrał sobie, światła płoną.
Wszędzie przepych, a w sypialni
Stoi łożo pod zasłoną,
Błyszcza srebra z gotowalni.
Na tem łożu sybaryta
Leży nie śpiąc, romans nowy
Trzyma w ręku — lecz nie czyta.
Jemu cisną się do głowy
Tłumnym rojem: baletnice,
Kluby, rauty, maskarady,
Buduarowe tajemnice,
I lecznicze wszystkie Bady.
Jak motylek skrzydłem złotem
Coraz inne muska kwiecie,
Tak i bankier nagłym zwrotem
Spoczął myślą na rulecie.
— Co za tryumf! — bank niedawno
W Monte-Carlo zbankował...
I tę jego partyę sławną
Lord w notesie zanotował.
Potem wspomniął młodą wdowę,
Jej twarz bladą, wzrok zamglony,
Rączkę drobną, włosy płowe
I rzekł do się zamysłony:
„Rzecz ciekawa czy też kiedy
Sprawdzą się tej kłątwy słowa?...
Czy uniknę onej biedy?
Czy też w stajni moja głowa
Szukać będzie ocalenia?
Lecz cóż to jest? — przepowiednia!
Nie — takiego poniżenia
Ja nie doznam!... Bredniał bredniał
Aż w tem, nagle, wstrząsł się cały...
Tajemnicze jakies siły
Wątek myśli mu przerwały
I splątały je, zmaciły...
— Co to? — bankier pełen grozy
Krzyknie — strach nim srogi miota.
— Czy to ciężkie pędzą wozy?
Nie to ziemia tak dygota,
To żywiły rozpasane,
To podziemne ryczą gromy...
Drżą zagony zaorane,
Drżą winnice, gaje, domy.
Huk, trzask wszędzie, dzwonów dźwięki
Jak złowrogiej pieśni nuty
Sieją trwogę, krzyki, jęki.
Dzień to kary i pokuty!
Piekło paszczę swą otwiera
A śmierć potrzask lodowaty
Już zastawia na bankiera,
Nie zważając że bogaty!
— Co tu począć! — bankier biada —
Skoczę oknem! Okno zmyka,
Biegnie do drzwi — znów zawada:
Łóżko drogę mu zamyka.
Przerażony, płacze, wzdycha,
Pada, wstaje; wir zawzięty
W lewo, w prawo go popycha
Tłukąc lustra, łamiąc sprzęty.
— Trzeba począć coś w obronie!
Rzekł i okno wybił dłonią,
Skoczył — już po drugiej stronie.
Zewsząd ludzie biegną, gonią,
Tłumy płyną przez ulice
Niby fala — morze wzbiera,
W gruz się sypią kamienice,
W piersiach ludzkich duch zamiera...
Za innymi bankier pędzi,
Tchu mu w piersiach już nie staje,
Lecz on sił swych dziś nie szczędzi,

Bo mu trwoga ich dodaje.
Pędzi, świadom okolicy,
Szuka kędy jadalajnia —
Lecz daremnie, bo w ulicy
Sama tylko stoi stajnia...
I choć z desek jest sklepony
Niepoczesny ten budynek,
Bankier rzecze ucieszony:
— No, mam przecież odpoczynek,
Tu się schronię! — poczem wpada
I rozgląda się dookoła,
Patrzy — jakaś postać blada...
Poznał. — Boże! tyś aniola
W porę zesłał, — dzięki Tobie! —
Krzyknął — bo to była wdowa,
Pamiętacie — ta w żalobie,
Ta co rzekła wróżby słowa.
I zadrżały pod nim nogi,
Myśli w głowie się zmaciły,
Jakby wchodząc w stajni progi
Wszystkie wraz postradał siły.
Tuż przy wdowie, jak dąb ścięty,
Bankier runął. — Módl się pani —
Rzekł po chwili — a Bóg święty
Nas wybawi z tej otchłani...
Jam niegodny zmiłowania,
Bom go w szczęściu lekceważył...
Dzisiaj przychodzę do poznania
Żem źle czynił — żem przeważył
Szalę Jego cierpliwości,
Wielka, wielka moja wina!
Boże! Panie mój — litości!
Nie karz! Matko Boga-Syna
Ty zwróć na nas swoje oczy!
Gdy nad nami wzniesiesz ręce,
Promień boży nas otoczy,
Ujdzem śmierci w tej stajence!
A stajenka choć jak trzcina
Podczas burzy, chwiejęs się cała,
Choć się chyli i nagina,
Stoi ciągle — stoi cała.
Wreszcie wraca cisza błoga.
Jutrznia światło swe roztacza,
Więc gdy przeszła pierwsza trwoga
Rzekła wdowa do bogacza:
— Jak Bóg mocny, dowód świeży,
Patrz — gdzie wille życiem wrzały
Pustki same, gruz tam leży —
Tylko w stajni żłobek cały!

Erazm Kaszowski.

NA POSTERUNKU.

Projekt poświęcenia Ogrodu Saskiego. — Połączenie „ruchliwych Nalewek” z Marszałkowską. — Komu najwięcej i dla czego podobać się to może? — Mistrz Aleksander rzuca znowu pioruny na antisemityzm. — Coby powiedział gdyby chciał być szczerym. — Żydy jemu a on żydom, czyli wzajemne dogadzanie najżywotniejszym zasadom liberalizmu. — Co mówi o panu „Poście Prawdy” współwyznawcy kierunku. — Apostrofa w „Ateneum”. — „Kopiący” niegdyś i „kopany” dzisiaj. — *Tempora mutantur.*

Ogród Saski ma być okrojonym i poświęconym, a nasi „polacy mojżeszowi” byliby temu niesłuchanie radzi. — Oho! — zawołają serdeczni — już i w tej sprawie „Rola” widzi żyda. Za pozwoleniem, widzi go nietylko „Rola”. Widzą go i inni jej koledzy po piórze, chociaż widzieć nie chcą, i albo zbywają rzecz tę pobieżnymi tylko wzmiankami, albo nawet bolejąc nad „zamachem na letni salon Warszawy”, nie dotykają gruntu. „Rola” więc i w tym wypadku musi wyręczyć swych kolegów *dyskretnych*, omijających z zasady tego rodzaju drażliwości.

Główny przedsiębiorca i kierownik robót kanalizacyjnych w Warszawie, p. Lindley, ze względu na sprostowanie kierunku kanału mającego łączyć ulicę Marszałkowską z placem Bankowym, zaproponował przedłużenie tejże ulicy Marszałkowskiej z uściem na tenże plac Bankowy. Przy tej kombinacji, ogród Saski musiałby naturalnie paść ofiarą, ale zato stałoby się to, czem, według twierdzenia Kurjera, p. Lindley głównie uzasadnia swój projekt: zyskali-bysmy „połączenie nadzwyczaj ruchliwej ulicy Nalewki z Marszałkowską.”

Czy pan Lindley, jako cudzoziemiec, zna potrzeby

oraz warunki „ruchliwości“ tych lub owych dzielnic Warszawy, i czy w ogóle obchodzą go te rzeczy, nie wiem; ale o czem nie wątpię, to że projekt powyższy „połączenia ruchliwych Nalewek z Marszałkowską“, wśród „obywateli starozakonnych“ pozyskać musiał jednogodny poklask. Ogród Saski oni lubią co prawda; zaludniają go w masie rosnącej z każdym rokiem, zapełniają coraz obficie... narodowemi wonnościami, ale nad przyjemności jakie im, i im najprzeważniej już dzisiaj, daje „letni salon Warszawy“, wołą praktyczność. Na Nalewkach jest im coraz ciasniej, no i choć lubią zaduch, jest im już za duszno. Dobrzeby więc było, gdyby ten zaduch i brud nalewkowski, razem z wszelkiego rodzaju geszefciarstwem, mógł się wylać szerzej i na inne dzielnice „syreniego grodu“,—gdyby wylało się to wszystko het, het, aż do rogatki Mokotowskiej—zalewając naturalnie wchłaniając i assymilując wszystko, co żydowskiem nie jest.

Projekt więc „połączenia ruchliwych Nalewek z Marszałkowską“ jest, jak widzimy, doskonałym, tylko nie zdaje mi się, iżby jego urzeczywistnienie miało być tak już pewnem, jak o tem głosi świat interesowany. Nie zdaje mi się, a raczej jestem przekonany, że szanowny Prezydent Warszawy, który dał już tyle dowodów dbałości o potrzeby miasta, nie zechce w żadnym razie zgodzić się na wyrządzenie mu krzywdy, jaką niewątpliwie byłby ów zamach na dzisiejszą całość ogrodu.

Mniej szkodliwym jest, podług mnie, zamach nieoceanionego mistrza Aleksandra na nieszczęsny antisemityzm, o którym mistrz tenże opowiada w swej „Prawdzie“, niejakiemu panu Żurkowskiemu aptekarzowi z Saratowa. Masz pan „Prawdę“, — mówi krótko jej Poseł — to dosyć; wszystko zaś cobys pan słyszał z kądinąd albo czytał gdzieindziej jest jeno paplaniną i — koniec.

Z „Prawdy“ też jedynie możesz się pan dowiedzieć co to jest antisemityzm w ogóle, a zwłaszcza ten tutejszy, warszawiak. Jest to mówiąc krótko, zbrodniarz o „dzikich instynktach napastujący (o zgrozo!) świątliwych i uczciwych obywateli kraju z tytułu ich pochodzenia i klasyfikacji meldunkowej“. Niegodziwiec to „opluwający tysiące dziś już ukształconych, prawych i do rodzinnego gniazda przywiązanych żydów“. Jest to, no jest to coś tak okropnego, że gdyby czcigodny „Poseł Prawdy“ wierzył w istnienie piekła i miał je w swoim rozporządzeniu, to przedewszystkiem ulokowałby tam wszystkich „antisemitów warszawskich“, rozumie się z redaktorem „Roli“ na czele. Szczęściem, że przynajmniej w tym razie pozytywna nieufność pana Posła Prawdy do istnienia piekła wychodzi nam r o l a r z o m na dobre.

Choćbym wszakże miał się narazić na straszniejsze jeszcze pioruny, niż te jakie świeżo wypadły z nieomylniej „Prawdy“, nie mogę się powstrzymać od zwrócenia uwagi nieomylnego jej przedsiębiorcy, że jak w wielu innych tak i w tym razie, nie jest on wcale s z c z e r y m. Gdyby nim był, nie uciekałby się ani do zacnych insynuacji o „błocie znajdującem odbyt na rynkach prowadzących handel artykułami nienawisli dla nas“, ani do innych tym podobnych a wysoce szlachetnych pozytywnych zwrotów, aleby, mniej więcej, odpowiedział w sens taki:

— Szanowny, czy kochany, panie Żurkowski!—chceszli zaczerpnąć z mojej „Prawdy“ rzetelną, rzeczywistą prawdę?—otóż ją masz. Powiadają że najwięksi zarozumialcy, czyli głupcy najwięksi, czezą wszystkich tym przymiotnikiem, oprócz siebie samych; ja jednak, jakkolwiek wszystkich tych przeciwników tytułuję z zasady (!) „idiotami“, nie jestem ani tak głupim, ani tak naiwnym, iżbym nie wiedział, że wszystkie te rozprawy, jakie w naszych, to jest liberalnych organach czytasz pan dobrodziej o tak zwanej „assymilacji“, są sobie marną farsą. Ale ta właśnie farsa podoba się żydom, a więc i ja w swej „Prawdzie“ uprawiać ją muszę. Tak, muszę, proszę pana, gdyż inaczej nie miałbym ani współpracowników, ani abonentów, a nie mając jednych i drugich, nie miałbym tego, co stanowi grunt i kwintessencję nowożytnego liberalizmu: odpowiedniej ilości rubli, zapewniających wygodny byt i możność... używania. Cóż mi to więc szkodzi chwycić za kolana onych n a j w y b i t n i e j s z y c h u n a s p r z e d s t a w i c i e l i m a m o n y, nazywać ich (choć sam śmieję się z tego w duszy) „światłymi“, „uczciwymi“ etc. „obywatelami kraju“,—co mi szkodzi piorunować na antisemityzm, miotać oszczerstwa i insynuacje na jego przedstawicieli — skoro mi jest z tem dobrze i wygodnie? Ja nie jestem, proszę pana, tak głupi, iżbym nie wiedział, że ci „zacni obywatele“ duszą w swoim uścisku to dobrodusze społeczeństwo tutejsze; ale co mi to

szkodził—niech je sobie duszą. Mnie dobrze z żydami a żydom dobrze ze mną. Mnie robią dobrze ich ruble, zsypywane w formie prenumeraty, a im dogadzają, bardziej niż wszystko, uprawiane, jak pan widzisz, w mej „Prawdzie“ teorie: „walki o byt“, „moralności niezależnej“ i różne inne zasady najnowszego postępu. Dogadzamy sobie słowem wzajemnie, i jest nam z tem dobrze, a skoro nam d o b r z e — to jesteśmy w porządku.

Gdyby czcigodny „Poseł Prawdy“ był tak odpowiedzialny panu Żurkowskiemu, byłby choć raz jeden jej posłem rzeczywistym. Odpowiadając inaczej, popełnił w swojej „Prawdzie“ jedną więcej fikcyjność, a że popełnił ich dotychczas bardzo dużo, przeto nic dziwnego, że na jego posłannictwie f a k t y c z n e m poznali się nawet najbliżsi współwyznawcy „kierunku“.

Bo oto co czytam właśnie w piśmie, nie jakimś tam obskurnem, zacofanem, a więc z z a s a d y „idiotycznym“, ale przeciwnie — w organie *par excellence* pozytywnym i postępowym.

„P. Poseł Prawdy — pisze kronikarz Ateneum (zeszyt za Maj z r. b.) rozumie postęp tylko pod warunkiem, żeby on, t. j. p. Poseł, sprawował funkcyę arcykapłana idei postępowych, żeby tłum kornie przed nim schylił kadził mu nieustannie, i żeby każdy, kogo on zechce kopnąć, ułatwił mu ten miły zamiar, podstawieniem swego grzbietu pod jego nogę, z Beranger'owskimi słowami: „*quel honneur, quel bonheur, je suis Votre humble serviteur*“.

„Od czasu jednak do czasu znajduje się taki niepokorny, który nie umie ocenić zaszczytu kopnięcia go własną nogą arcykapłana, i chcąc się obronić przed tą nieposzoną łaską, powstrzymuje wyciągniętą ku niemu kończynę, a wówczas pan arcykapłan traci równowagę i padając nieraz się potłucze. Naturalnem następstwem takiego wypadku arcykapłana jest wyłączenie niepokornego z liczby postępowców, oskarżenie go o wszystkie, przewidziane i nieprzewidziane przez kodeks karny zbrodnie i zasypanie epitetami, w dosadności i elegancji których p. Poseł Prawdy wyrobił sobie miłą specjalność“.

No i proszę ja państwa, czyż nie dziwnie się plecie w tym naszym światku warszawskiego pozytywizmu? Nie tak to jeszcze dawno, jak mistrz istotnie „kopał“ wszystkich i wszystko, a dziś „kopią“ mistrza. I kto?? — jego najbliżsi, jego bracia duchowi... Ha, *tempora mutantur*...

Kamienny.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Gabinet lorda Salisburego w niebezpieczeństwie. — Sara Bernhardt i jej trupa w podróży do Madrytu. — Hiszpański zawiadowca stacyi. — Wiedeńscy Bismarkowie i Boulangerzy. — Imaginacyjni chorzy na gardło. — Projekt sir Johna Lubbocka. — Subiekci uprzywilejowani kosztem nędzy. — Pokrecone pojęcie ludzkości. — Zamiar rehabilitacyi hr. Arnima. — Książę Wiktor Bonaparte i robotnik francuzki. — Wycieczka Boulanger'a. — Republikanie i boulanżyści. — Katastrofa zagrażająca Francyi. — Rola w niej armii. — Popularność Boulanger'a w wojsku. — Anglię w Stambule. — Obóz oszańcowany w Czataldzy. — Rozbójnicy w Macedonii i na granicy serbsko bulgarskiej. — Król Milan i królowa Natalia.

Czy wiecie państwo, że ten biedny Salisbury przepadł z kretesem?... Jeśli nie wiecie, to ja wam powiadam, że od chwili jak „liberalny związek kobiet“ w Anglii, uchwalił na jednym z licznych a gwarnych swoich posiedzeń: obalenie dzisiejszego rządu, a przywrócenie gabinetu Gladstona, upadek ministerjum Salisburego jest tylko kwestyą czasu, i jeśli czemu dziwić się należy, to chyba temu, że mimo takiej śmiercionośnej rezolucyi, rząd ten jeszcze sobie troszkę żyć pozwala. Ale maluczko a ujrzymy go na marach; od czegożby w związku była pani Gladstonowa.

Tryumfy „siostr angielskich“ nad „uzurpacyami“ płci brzydkiej do reszty zakreśliły w mózgu Sary Bernhardt, która jadąc ze swoją trupą na przedstawienia do Madrytu, cuda po drodze dokazywała. Wszyscy naczelnicy stacyi kolejowych mieli się zpyszna, ale najgorzej wyszedł naczelnik stacyi Talavera, za to, że zamiast kilku minut, nie chciał zatrzymać pociągu kilka godzin, aż trupy... to jest członkowie trupy Sarzynej, podjedzą i podpiją sobie dowoli. Nie dosyć, że został stante pede zwymyślany od ostatnich, ale zaledwie stanąwszy w Madrycie, Sara podła na niego skargę do głównego zarządu kolei. Mimo, że sława awanturnicy uprzedziła przyjazd Sary do Madrytu, zarząd nakazał śledztwo, ale cóż się pokazało. Że to zawiadowca miałby owszem prawo żądać satysfakcyi od pani Sary. Namawiano go nawet do tego, ale on odpowiedzialny, że z bab... to jest że z kobietami nie wojuje. Hisz-

pan, choć to sobie prosty zawiadowca stacyi, postąpił jak istny hidalgo, ale czy poznała się na tem ta zdenerwowana żydówka, królowa blagi i reklamy?... wątpimy.

Już to wiek nasz jest ulubieńcem newrozy, rzecz wiadoma, równie jak i to, że plaga ta najbardziej ukochała żydów; — dla czego? to już rzecz jej gustu. Inne rasy trapią za to rozmaite aberracye umysłowe, których źródła szukać należy w potwornej niekiedy gmatwaninie wrażeń, uderzających bezprzestanku w słabe mózgi dzisiejszego pokolenia. Z Wiednia, którego ludność, jako wynikła ze skrzyżowania i zamalgamowania najrozmaitszych ras i rodów, powinna być wytrzymalszą od innych na tego rodzaju wpływy, donoszą o licznych wypadkach obłąkania, z charakterem fiksacyi (*idée fixe*). Chodzi tam mianowice po ulicach mnóstwo Bismarków i Boulangerów, którzy noszą się z ważnemi tajemnicami i interesami politycznemi, dla których domagają się audyencyj u cesarza i najcelniejszych dygnitarzy cywilnych i wojskowych. Jest znów wielu takich, którym się zdaje, że dotknięci są chorobą, na którą cierpi cesarz Fryderyk; zaglądną sobie sami i każą sobie zaglądnąć do gardła, i póty majstrują około tej delikatnej części swego organizmu, póty ją drażnią, póki nie dostaną silnego w niej zapalenia. Wtedy gwałtem zachciewa im się rurek, i gdyby lekarze byli powolniejsi nieco dla tych wymagau, połowa Wiednia i Berlina chodziłaby lub leżała z rurkami w krtani. A jakby to było dobrze! O ile byłoby ciszej na świecie!... Szkoda że ci doktorzy tacy uparci na punkcie tracheotomii...

Do rzędu produktów nadwyreżonego mózgu można po części zaliczyć wniosek sir Johna Lubbock, uczyniony w parlamencie angielskim, a domagający się zamykania wszystkich sklepów i składów codziennie o godz. 8 wieczorem. Wniosek ten ma niby na celu zapewnienie odpoczynku subjektom handlowym, a nie pyta się o to, co pocznie nędza, która po 8-mej dopiero zdołała zdobyć grosz jakiś, i która dzięki prawu Lubbocka musiałaby mrzeć głodem do rana. Z pewnością nie nakarmiliby jej panowie subjekci, z łaski tegoż prawa promenujący dobrze zaopatrzone żołądki po ulicach Londynu lub innych miast i miasteczek... Al przeprasza!... zapomniałem; — nędzy wniosek sir Lubbocka nie pozostawia na noc bez przytułku: zatrzymuje dla niej otwarte... szynki (tawerny) i składy tytoniu!... A co?... jak dziwnie w tej Lubbockowskiej głowie musi być to pojęcie ludzkości pokręcone!..

Czy nie należy do chorobliwych, na gruncie newrozy opartych pomysłów, projekt hr. Arnima rehabilitacyi ojca, owego b. ambasadora niemieckiego w Paryżu, człowieka, który niegdyś sam jeden mógł być groźnym współzawodnikiem Bismarka, i którego też kanclerz ściagał nieubłaganie, aż go wyrokiem sądowym, jako niemal zdrajcę kraju, zabił politycznie i moralnie, a wreszcie i fizycznie, bo hrabia kłeski poniesionej przeżył nie był w stanie.

Chorobliwość pomienionego projektu zdaje się głównie leżeć w jego przedczesności; rzeczy to są zbyt świeże, a kanclerz zbyt potężne zajmuje jeszcze dzisiaj stanowisko, aby świadkowie na których syn Arnima liczy, nawet tacy świadkowie jak hr. Juliusz Andrassy, zechcieli jawnie i bez ogródek dać świadectwo prawdzie.

Nie można, nie godzi się jednak dziwić skwapliwości, z jaką syn pragnie pamięć ojca oczyścić. Rozsądek możeby powinien nakazać zwłokę, — ale serce jego jest całkiem na swoim miejscu...

W epoce materyalizmu w całym świecie, a ateizmu niemal kompletnego nad Sekwaną, dziwnie wyglądają wróżby i przepowiednie; a jednak pokazuje się, że *les extrêmes se touchent*, gdyż we Francyi silne wrażenie sprawił następujący wypadek. Książę Wiktor Bonaparte zwiadał w tych dniach luty w Seraing, w pobliżu Leodyum (Liège), oprowadzany przez dyrektora, p. Macer. Gdy mu przedstawiono robotników francuzów, książę zapytał jednego z nich, czy tęskni za Francją? — „O, i bardzo, Najjaśniejszy Panie!“ brzmiała odpowiedź. Książę uściśnął rękę robotnika: „Słowa twoje — rękę — biorę za dobrą wróżbę, a to tem bardziej, że jeżeli kiedyś będę miał prawo używać tego tytułu, otrzymam go tylko z rąk tobie podobnych...“ Takie rzeczy podaje się bez komentarzy.

Boulanger powrócił już do Paryża z tryumfalnej swojej wycieczki do departamentu du Nord. W Lille, gdzie pięćdziesięcio tysięczny tłum demonstrował na jego cześć z wrzaskliwym zapalem, przyszło do krwawych starć, rewolwery były w robocie. Wogóle republikanie i boulanżyści coraz ostrzej stają naprzeciw siebie; nadaremnie Boulanger sumituje się że jest republikaninem i wojny nie chce; pierwszemu nie wierzą republikanie, drugiemu niemcy. Dzienni-

ki niemieckie przepowiadają rychłą katastrofę we Francyi i mają podobno słusność; Francya podzieliła się dziś na dwa obozy: na zwolenników rzeczypospolitej i na zaciętych jej przeciwników, którym rządy republikańskie zanadto już zalały sadła za skórę. W walce jaka wybuchnie, rozstrzygającą rolę odegra armia: zwycięży ten, kto ją będzie miał po sobie; a pod tym względem Boulanger zdaje się mieć wielkie szanse za sobą. Podczas swojej służby w wojsku, dzięki zdumiewającej pamięci, znał on wszystkich swoich żołnierzy z imienia i nazwiska, a nawet ich stosunki rodzinne i domowe, i tym sposobem zyskał sobie ogromną wśród nich popularność. Korpus znów oficerski składa się przeważnie ze zwolenników bonapartyzmu, a bonapartyści i Boulanger to jedna ręka.

Złagodzenie mocno naprężonego stosunku między Turcyą a Grecyą, jak się pokazuje, nastąpiło za pośrednictwem Anglii, która zaczyna odzyskiwać wpływ swój w Stambule. Ambasador White bywa teraz częstym gościem w pałacu sułtańskim, a we wszystkim znajduje poparcie ze strony ambasadora niemieckiego Radowitza.

Z angielskiej też insynuacyi zakładają turcy obóz oszańcowany w Czataldzy o trzy mile od Stambułu, który obsadzony stotysięczną armią, stanowić będzie obronne przedmurze stolicy.

Mimo naprawy stosunków turecko-greckich, położenie rzeczy w Macedonii pogarsza się z dnia na dzień; w prowincyi tej mnożą się bandy „rozbójników“ a wojsko tureckie dotąd jest zupełnie bezczynne.

Na granicy serbsko bułgarskiej uwijają się także bandy wychodźców; rząd sofijski skarżył się z tego powodu w Belgradzie, gdzie obiecano wziąć się energicznie do potłumienia ruchu pogranicznego.

Między królem Milanem serbskim a królową Natalią przyszło do zbliżenia się jeżeli nie do zgody, za orędownictwem prawdopodobnie Austrii. Przynajmniej oboje królestwo zjechałi się w Wiedniu, gdzie stanęli w jednym hotelu. Królowa następnie ma udać się z synem do Wiesbadenu, z kąd dopiero powróci do Belgradu.

E. Jerzyna.

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

Napad na redaktora „Roll“. W ubiegłą Niedzielę, po godzinie 8 wieczorem, to jest w chwili gdy już zmrok zapadł, a latarnie nie były jeszcze zapalone, na redaktora pisma naszego, *vis-à-vis* domu w którym mieszka, napadło dwóch ludzi, czatujących nań widocznie i uzbrojonych w pałki. Napadnięty zasłonił się trzymaną w rękę laską, a gdy mu ją napastnicy wyrwali, wydobyl szybkim ruchem rewolwer, na widok którego i na dany wystrzał w powietrze, celem przywołania pomocy, bohaterowie — zbiegli, uciekając przez całą szerokość placu Ś-go Aleksandra, aż do ulicy Brackiej, gdzie następnie znikli.

Takim jest sam fakt, którym zresztą zajęły się już z urzędu właściwe władze policyjne, i z powodu którego rozpisywać się nie widzimy potrzeby, zwłaszcza że i na tego rodzaju ataki, przy otrzymywaniu setek anonimów z groźbami, byliśmy oddawna przygotowani. Nadmienimy tylko, że jeżeli przeciwnicy nasi nie mają, iż przy pomocy aż tak szlachetnych środków zdołają nas odstraszyć od wypowiedzania jasno i otwarcie swych sądów i przekonań, to są w grubym błędzie. Zakładając „Roll“, wiedzieliśmy aż nadto dobrze, co przy jej kierunku i programie czekać nas może; od programu więc tego i teraz i w przyszłości nie odstąpimy bodajby na krok jeden.

Z Poznania donoszą o zgonie ś. p. księdza Jana Korytkowskiego, prałata kapituły gnieźnieńskiej. Zmarły kapłan, zasłużony pracownik na polu badań historycznych, urodził się w Gnieźnie w dniu 31 Grudnia 1824 roku. Po ukończeniu gimnazjum w Trzemesznie, ś. p. ka. Korytkowski wstąpił do seminarium a po otrzymaniu święcenia kapłańskiego w Poznaniu w roku 1851, przechodził następnie różne stopnie hierarchii duchownej, otaczany wszędzie i stale szacunkiem, czcią i miłością ogólną. Zmarły, jak wspomnieliśmy, wślawił się badaniami na polu historycznym, a praca jego p. t. „Arcybiskupi gnieźnieńsko-poznańscy“ stanowi istotne dzieło pomnikowe. Zgon czcigodnego kapłana nastąpił właśnie w chwili, gdy, według ostatnich wiadomości, miał on być na najbliższym konsystorzu mianowany przez Ojca Św. Biskupem hermopolitańskim *in part. infid.* i sufraganem gnieźnieńskim. Cześć szlachetnej pamięci kapłana i człowieka rzeczywistej zasługi, wielkiej pracy i nieskażonej cnoty.

Dla ziemian. Kodyfikacya ustaw Towarzystwa Kredytowego

Ziemskiego została w tych dniach przez Radę Państwa przyjęta. Kodyfikacja ta, stanowiąca, jak wiadomo, rezultat kilkoletnich prac osobnej delegacji, obejmuje ważne i pożądane udogodnienia dla właścicieli ziemskich. Mianowicie uwzględniła ona właścicieli majątków obciążonych w $\frac{3}{4}$ wartości, następnie wprowadza zmniejszenie kar od rat nie opłaconych w terminie właściwym z 1% na $\frac{1}{2}$ 0/0, wreszcie nadaje prawo wypuszczania listów bezseryjnych. Wątpić nie można, że przy tych zmianach i udogodnieniach, nietylko rozwój, ale i p o ż y t e k instytucji dla stowarzyszonych oprze się na tem trwalszej podstawie.

Bank włościański. Według doniesienia dzienników, ustawa banku włościańskiego w Królestwie Polskim została w dniu 23 z. m. zatwierdzoną. Korzystać z banku będą mogły osoby pochodzenia ruskiego, polskiego i litewskiego, podciągnięte pod ukaz z roku 1864. Pożyczki wydawane będą na grunta wydzielone lub obciążone służebnościami, w wysokości 90 proc. Szacunku dopełnić mają oddziały banku, a decydować, czy co do udzielenia pożyczki nabywcy nie zachodzą przeszkody—komisarze włościańscy.

Spółka owocarska. Po wielu i rozlicznych trudnościach, spółka owocarska pod nazwą: „Warszawskie stowarzyszenie sprzedaży owoców“ stała się nareszcie faktem dokonany. Celem spółki, obok prowadzenia „interesu handlowego“, będzie głównie popieranie sadownictwa w kraju, przez ułatwianie zbytu owoców właścicielom ogrodów, którzy bliższe wskazówki i informacje znajdują w drukowanej i na żądanie bezpłatnie wysyłanej instrukcji.

Spadek po księciu Wittgensteinie. Według doniesienia gazet petersburskich ks. Marya Hohenuohre przekazała prawo do spadku po ks. Piotrze Wittgensteinie, na swojego syna, który ma przyjąć poddaństwo ruskie.

Z prasy. „Izraelita“, opowiadając o głośnej sprawie znanego wiedeńskiego antisemity i prusofila Schönenera, cieszy i smuci się razem. Cieszy się z racyi surowego wyroku sądowego, smuci z powodu manifestacji, jaką temuż Schönenerowi urządziła publiczność przy wyjściu z sali sądowej. Bo oto gdy się tylko Schönener ukazał na ulicy, „kilkutysięczny tłum“ wyprzągnął konie z jego powozu i „zaciągnął go do domu wśród okrzyków i śpiewu“.

„Oto twe bożyszcza“ — dodaje „Izraelita“ — można wołać na lud w grodzie słynącym z cywilizacji i humanizmu“.

I słusznym jest ten wykrzyknik „Izraelity“, jak również słusznym jest jego gniew na Schönenera, który urządzając napad na redakcyę żydowskiego „Tageblattu“, popełnił czyn brutalny i godzien surowego skarcenia. Słusznym jest to wszystko — przyznajemy najchętniej — tylko, skoro ów Schönener jest istotnie takim, jakim go opisują, a co zresztą poświadczają jego czyny i wybryki uliczne, to z jakich mianowicie pobudek, nie jakaś garstka awanturników, ale publiczność zebrana przed gmachem sądowym w „kilkutysięcznym tłumie“ urządziła temuż „bohaterowi ulicy“ tak zgodną i głośną manifestacyę? — przez miłość i szacunek dla niego — czy przez miłość dla — żydów? Czybyś też luby nam panie Jojno, przy pomocy swego „delikatnego rozumu“, nie zechciał nad pytaniem powyższem zastanowić się bliżej i bliżej nam tę zagadkę wyjaśnić?

Sztuki plastyczne. Najnowszy obraz Matejki: „Kościszko pod Racławicami“, wystawionym już został, jak donoszą pisma tutejsze, w sali Muzeum narodowego w Krakowie.

P. Szyndler, znany artysta-malarz tutejszy, otrzymał drugą nagrodę na wystawie konkursowej w St.-Petersburgu za obraz: „W kąpielu“.

Z teatru i muzyki. Zapowiadają przybycie słynnej ze sztuki reklamowania się artystki starozakonnej Sury Bernhardt na sześć przedstawień do Warszawy.

Fraszka p. Michała Bałuckiego p. t.: „O Józję“ ma być przedstawioną w teatrze Rozmaitości.

Znany śpiewak p. Negri występuje gościnnie na scenie warszawskiej.

Zmarli: Ś. p. Edward Petzold, artysta-malarz niegdyś nauczyciel rysunków w szkołach publicznych—zm. w Warszawie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pan u L. P. w Warszawie. — „Kuryer Poranny“, „Wiek“, „Gazeta Warszawska“ oraz inne dzienniki, o zamachu na Redaktora pisma naszego podały wiadomość prawdziwą; jeden tylko „Kuryer Warsz.“ pozedstawił ją fałszywie. Tendencya w organie p. Lewenthala i S-ki musiała przecieć i tym razem wyleźć.

Wsz ystki m ż y c z l i w y m. — Dziękujemy serdecznie. Przekonają się łatwo że i to napróżno.

Sz. Ks. M. w K. — Życzeniu Sz. Księdza Dobrodzieja stanie się wkrótce zadość.

P. Don. rzemieślnik z Siedlec. — Prosimy o dokładny adres, a „Rolę“ wysyłać będziemy z przyjemnością, bez pretensyi do opłaty.

Z a d o w o l o n e m u. — Wszyscy ludzie uczciwi i rozumni potępilli stanowczo i kategorycznie; opinią zaś zżydziałych i zbezwyznaniowio-

nych podlców — gardzimy. Chciej pan oznajmić to wszystkim równie jak pan „zadowolonym“.

P. M. T r o c h . . . W i e r u s z ó w. — Racz się pan zwrócić wprost do redakcyi „Biblioteki umiejętności prawnych“, wydawane przez pana Stefana Godlewskiego—Zielna Nr. 12.

Sprostowanie. W przeszłym N-rze, przez pomyłkę, przedstawione zostały stronnice, a to w ten sposób, że na stronie 3-ciej jest tekst który powinien być na 4 tej, na 4-tej znowu znajduje się to co powinno być na 3-ciej.

REKLAMY.

Wykwalifikowany organista,

człowiek młody, uczciwy, zdolny i pracowity, znający dobrze język ruski i mogący być użytym przy prowadzeniu akt stanu cywilnego, poszukuje miejsca w jakiejś większej parafii. Bliższa wiadomość w redakcyi „Roli“ (Nowy Świat Nr. 4), gdzie też i warunki wynagrodzenia nadsyłane być mogą. (6—3)

Dentysta **Marceli Grzeszkiewicz**, Nowy Świat Nr. 55, przyjmuje od 10 do 6-iej, —specyalnie sztuczne zęby. 6—3

OGŁOSZENIA.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-20
i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Bielańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137

(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nożowniczych—oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacye po cenach najumiarkowańszych.

Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu).

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki, Koldry, Dery i t. p. JŪTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki „Zawiercie“. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

ODNAWIANIE OBRAZÓW

kościelnych, galeryowych i portretów rodzinnych

pod kierunkiem

T. MALESZEWSKIEGO

przyjmuje się w jego pracowni
ul. Warecka Nr. 3

W razie większego zakresu pracy na prowincyi, mianowicie w kościołach, wysłanym będzie kompetentny współpracownik. (8—4)

Dentysta Głogowski,

b. asystent D-ra Kobylńskiego,
Chmielna 35.

od 10 do 6. Sztuczne zęby, plombowanie. (4—3)

Fabryka wyrobów Platerowanych i Bronzowych

egzystująca od roku 1856

BRACI HENNEBERG

poleca wielki wybór tak przedmiotów PLATEROWANYCH, jak i BRONZOWYCH, złożonych i ciemnych. — Zaznaczyć przytem winniśmy, iż wobec zagranicznych bronzów, nasze wszelką konkurencyę wytrzymują, są bowiem o wiele solidniej wykończone, a ceny stosunkowo niższe. — Upraszając o łaskawe zwrócenie na to uwagi, polecamy

Magazyny: Plac Teatralny Nr. 11. (26—24)
Róg Trębackiej i Krakowskiego-Przedmieścia

CENY MOŻLIWIE NIZKIE.

Cenniki na żądanie wysyłają się franco.

CIECHOCINEK,

Wody Mineralne Jodowo-bromowo-słone,

położone w Królestwie Polskiem gub. Warszawskiej,
otwarte zostaną dnia 20 (8) Maja r. b.

Wody te znane z najpomysłniejszych skutków w chorobach skrofalicznych, syfistycznych, reumatycznych, kataralnych, skórnych i nerwowych, w chorobach koblet, zapaleniach stawów zastarzałych, obrzmieniach i uszkodzeniach kości.

W miejscu znajdują się hotele i wiele świeżo pobudowanych z komfortem urządzonych domów, restauracje, cukiernie, czytelnie i gimnastyka. Teatr, koncerty i bale, a także orkiestra zakładowa uprzyjemniają gościom pobyt u wód. Spacer pod tężniami nie tylko jest przyjemną rozrywką, ale i wpływ leczniczy wywiera na osoby oddychające powietrzem tężniowem, zbliżonem do morskiego.

Kąpiele solankowe, błotne, tuszowe i parowe z natryskami zimnemi i ciepłemi, odpowiednio są urządzone. Apteka miejscowa dostarcza potrzebnych lekarstw, a oddzielne składy, wszelkich wód mineralnych, naturalnych i sztucznych. Oprócz lekarzy zdrojowych, corocznie przybywa wielu wolno praktykujących i tym sposobem pomoc lekarska dostatecznie jest zapewnioną.

Koleją Warszawsko-Bydgoską dojeżdża się do samego źródła.

(5-5)

J. SZTENGEL

Biszkopty, Herbatniki, Ciasteczka drobne do wina.



Cukry deserowe, Czekoladki, Kakao kuracyjne.

Róg Marszałkowskiej
i Zielonego Placu.

6-6

SKŁAD PAPIERU

J. N. BRONIKOWSKIEGO

Plac Teatralny 18, Obok Ratusza, przy kościele P. P. Kanoniczek

POLECA:

Albumy i Ramki do fotografii — Atramenty — Rejestry gospodarcze — Kwitaryusze — Doskonałe Pióra stalowe — Wyborowe Kajety, każdy z doskonałą bibułą — Rozmaite drewniane Szkatuleczki, odpowiednie na prezenta — Śliczne Papiery listowe z monogramami lub jedną literą — Monogramy do haftu, własnego wydawnictwa, w zeszytach, arkuszach i pojedynczo, po kop. 5, 10 i 15 — Wyroby skórzane w bardzo dobrym gatunku — Papiery krajowe w ryzach po cenach fabrycznych.

Towar wyborowy, ceny niskie.

3-2

J. N. BRONIKOWSKI
18 Plac Teatralny 18
obok Ratusza przy kościele
P. P. Kanoniczek

18
Plac Teatralny

SKŁAD PAPIERU
i
GALANTERJA



SKŁAD MEBLI

13-11

MAJSTRÓW STOLARSKICH

róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu,
Nr. 60 (150 nowy), I-sza piętro.

Pragnąc dostarczyć JJWW. i WW. Panom mebli dobrych, produkowanych we własnych warsztatach, poleca takowe od najkromniejszych do wykwinnych, przyjmuje również zamówienia na roboty tapicersko-dekoracyjne, gwarantując za dobroć towaru i roboty.

Krawiec

(52-14)

M. CHMURCZYNSKI

w WARSZAWIE

róg Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej Nr. 94 nowy,
na dole w podwórzu po prawej stronie.

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres krawiectwa wchodzące, oraz wykonywa wszelkie odnówki jesienne i zimowe palta, sakpalta, surduty, tużurki, żakiety, marynarki, spodnie, kamizelki i t. p., i takowe oczyszcza z plam i brudu, obszywa taśmą, podszywa podszewki, nicuje, reperuje, zmienia aksamitne kołnierze, guziki i odprasowuje, jak najakuratniej, po cenach bardzo niskich.

SKŁAD ZEGARKÓW

S. POPIELA, (52-23)

Ulica Elektoralna Nr. 5.

J. SPORNY INŻYNIER

WARSZAWSKIE

PRZEDSIĘBIERSTWO ASFALTOWE

i FABRYKA TEKUR,

wykonywa roboty asfaltowe, dekarckie i betono-
we, oraz poleca TEKURĘ DO KRYCIA DA-
CHÓW, LAK ASFALTOWY, SMOŁĘ i wszyst-
kie inne materyały, w zakres specjalności Przed-
siębiorstwa wchodzące.

Zamówienia przyjmują się w kantorze Przed-
siębiorstwa w Warszawie ulica ERYWAŃSKA
(PLAC ZIELONY) Nr. 14.

(6-3)

Specjalna Fabryka i Magazyn
BIELIZNY

L. GAŁKOWSKIEGO

w Warszawie,
Marszałkowska Nr. 133,
róg Ś-to Krzyckiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, Kołnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. Kalesony, Skarpetki i Szelki, Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmłodniejszych. Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera.

Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spieszenie, po cenach stałych, możliwie niskich, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy krój Koszul męskich.“

52—35

TANI POLSKI
Magazyn Bławatny
W. KLECZYŃSKIEGO

Krakowskie Przedmieście 64.

Resursa Obywatelska,

otrzymał i poleca Szanownej Publiczności wielki wybór towarów na sezon obecny, a mianowicie :

Pół wełny od 13 kop. do 35.

Materyały czysto wełniane podwójnej szerokości, po kop. 55, 75, 90, rs. 1, 1.25, 1.50 i t. d.

Materyały czysto wełniane w pasy i kratki od kop. 70 do rs. 1.50.

Kaszmiry czarne w wielkim wyborze od kop. 60 do rs. 2 za łokieć.

Korty na damskie okrycia od kop. 60 do rs. 2 za łokieć. Velvety czarne i kolorowe, w wielkim wyborze, na składzie po cenach niskich.

Korty na męskie ubrania od rs. 1.30 do rs. 2.50.

Piótno Jarosławskie na trawie bielone od rubli 7 za pół sztuki.

Bielizna stołowa biała i kolorowa, wyprzedaje się po cenie kosztu.

Oprócz wymienionych wyżej przedmiotów, Magazyn posiada wielki wybór Perkali białych, Półpiótna, Madapolamów, Drelichów kolorowych, Firanek, Kołder pikowych białych i kolorowych i kołder wełnianych.

12—9

Szyby lagrowe i zwyczajne

oraz

Dyamenty szklarskie

NAJTANIEJ

w Składzie Szkła Porcelany i Fajansu

ulica Podwale Nr. 7, — w Warszawie

z czem poleca się :

ALEXY BAYTEL.

(4—1)

Polski Kantor Bankierski
RADZISZEWSKI i S-ka (52-19)
WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

Treść numeru : Lichwiarze warszawscy. (Szkice z życia) IX. — Z pod szlacheckiej strzechy. — Francya żydziła (d. c.) — Na wyspie Zelandyi; z notat podróznego przepisał St. Piaśt (d. c.) — Za karę. (Z życia cynika — opowiadanie) (dok.) — Na posterunku, feljton Kamienego. — Z całego świata. — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia. — W odcinku: „Narwańcy“, powieść przez T. Jeske-Choińskiego (d. c.) — W Dodatku: Sprawozdanie handlowe. — Ogłoszenia.

Bedaktor i Wydawca Jan Jeleński. Дозволено Цензурою. — Варшава 5 Маг 1888 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Świat N-r. 61)



SKŁAD WIN^(24—11)

J. Lijewskiego i S-ki

Krakowskie Przedmieście Nr. 6,
(wprost Kościoła Ś-go Krzyża).

Mianowany przez Prześwietny Konsystorz Generalny Warszawski przysięgłym dostawcą win do Ofiary Mszy Ś-tej, donoszę uprzejmie, iż chcąc godnie odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu — zaopatrzam piwnice w czyste i wystale wina Węgierskie, odpowiednio do użytku kościelnego i sprzedaję takowe na butelki, garnce i beczki.

Oprócz tego pozwalam sobie zwrócić uwagę Szanownych Odbiorców na wina w beczkach z zapasów dawniejszych, a mianowicie z roku 85-go — jako z ostatnich lat dla win Węgierskich najkorzystniejszego — w bogatym wyborze gatunków i smaków, odstępując takowe, przy możliwie małym zysku, po cenach hurtowych.

W końcu nadmienić sobie pozwalam, iż piwnice składu zaopatrzone są w liczne i wyborowe gatunki win Węgierskich w butelkach, tak wytrawnych, jak maślaczy, odznaczających się czystością jagody i w skutek tego zdrowych i posilających, oraz w wszystkie inne wina zagraniczne z renomowanych domów, jak Francuzkie, Reńskie, Hiszpańskie i t. d.

Szczegółowe cenniki na żądanie franko i bezpłatnie.

FABRYKA i MAGAZYN

WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY
KONNEJ JAZDY i POŁOWANIA

T. L. BREYMEYER, — Warszawa
Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

Kufry — Walizy — Torby — Sakwojaze
Płaszcz gumowe — Buty filcowe
Kurtki — Płaszcz i Spodnie skórzane
Torby myśliwskie — Futerały na broń
Portmonetki — Pugilaresy — Portelgary — Woreczki i t. p.
Wszelkie reperacje uskuteczniają się szybko i dobrze.

52—40

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885. **ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.**
DYPLOM UZNANIA. **MAGAZYN MEBLI**

ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tlomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowania pokoiów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracyjne, podług najświeższych żurnali (13-7)

„GUDRONIT“

A. Ciszewski Budowniczy i S-ka.

w Warszawie, Hotel Angielski.

Osuszanie wilgotnych mieszkań i budowli; niszczenie grzyba drzewnego i konserwacja drzewa. (10--2)

Specyjalna Fabryka i Magazyn Bielizny Męskiej

A. KIERST i S-ki

5. Bielańska 5. (vis-a-vis Danilowiczowskiej),

poleca w wielkim wyborze:

Koszule męskie wykonywane podług najświeższych fasonów, od rs. 1.50—Kołnierzyki i Mankiety—wielki wybór Krawatów, Spinek i Szpilek najmodniejszych—Kalesony, Skarpetki jedwabne, fildecose i bawełniane bez szwu—Kaftaniki trykotowe wszelkich rodzajów—Chustki do nosa—Cachenez na szyję, jedwabne—Szelki, Laski etc. Wszelkie zamówienia wykonywają się starannie i spiesznie, po cenach najniższych.

(26—26)

Najwyżej Zatwierdzone

Towarzystwo Wzajemnego Ubezpieczenia na Życie

„NEW-YORK“

ZAŁOŻONE W 1845 ROKU.

Warunki Ubezpieczenia i Kontroli zostały zatwierdzone przez P. Ministra Spraw Wewnętrznych 21 Października 1887 r. Kapitał gwarancyjny, najzupełniej zrealizowany, wynosił w dniu 1-go Stycznia 1887 r. 161,100,224 rubli. Towarzystwo złożyło do Banku Państwa 500,000 rubli tytułem kaucji, (w listach pożyczki wewnętrznej z roku 1837 wartości nominalnej 600,000 rubli). Osobny, prawem przepisany, fundusz rezerwowy składa się do Banku Państwa, jako gwarancya Ubezpieczeń w Cesarstwie i Królestwie zawartych. Czynności Towarzystwa i unormowanie funduszu rezerwowego, podlegają czynnej kontroli Rządu Ruskiego. Wszelkich objaśnień udziela Biuro Towarzystwa w Warszawie, Plac Saski Nr. 5.

DYREKTOR

na Rosyę Południową i Zachodnią
oraz na Królestwo Polskie:

Bankierzy w Warszawie:

Bank Handlowy w Warszawie.
A. Rawicz & Comp.

L. Werner.

(0-10)

NOWE MIASTO NAD PILICA

(gub. Piotrkowska, pow. Rawski)

ZAKŁAD PRZYRODOLECZNICZY.

Racjonalna hydroterapia, z kompletnymi, obszernymi i dogodnymi urządzeniami kąpielowo-leczniczymi. Elektryczność, masaż, gimnastyka, leczenie mlekiem, wszelkie wody mineralne, wyborne kąpiele rzeczne.

Ścisły internat i eksternat, dwóch stałych lekarzy, dyjetetyczne stołowanie, zdrowy klimat, malownicze położenie, liczne spacerki, orkiestra w sezonie letnim.

Telegraf przy zakładzie, poczta codziennie.

Ceny umiarkowane, a urządzenie zastosowane do stopnia zamożności, ułatwienia dla niemających, ulgi dla ubogich.

Komunikacja osobowa koleją Warsz.-Wiedeńską przez Skierniewice, lub Iwangrodzko-Dąbrowską przez Opoczno.

Szczegółowe objaśnienia w Zarządzie zakładu, lub w Warszawie w aptece H. Kucharzewskiego, Miodowa 4.

Właściciel i naczelnny lekarz zakładu

J. Bieliński.

0—3

MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH

J. WĄGROWSKIEGO

w Warszawie

Długa Nr. 27 (25) vis-à-vis Hotelu Drezdeńskiego.

Zaopatrzone w wielki wybór materiałów krajowych i zagranicznych z najpierwszych fabryk,—a także posiada znaczny zapas gotowej garderoby po cenach umiarkowanych, a mianowicie:

| | | | |
|-----------------------|-----------|-----------------|----------|
| Palta zimowe | od rs. 22 | Spodnie | od rs. 5 |
| Garnitury marynarkowe | „ 22 | Kamizelki | „ 2.50 |
| Surduty wizytowe | „ 20 | Burki sławuckie | „ 22 |
| Garnitury tużurkowe | „ 28 | Szlafroki | „ 12 |

oraz wielki wybór kamizelek sztucznych od 3 do 12.

Wszelkie obstalunki wykonywają się na żądanie
w ciągu 24 godzin.

6-4



SPRAWOZDANIE HANDLOWE.

17 Maja 1887 r.

Podobno rynek zbożowy amerykański „nieco osłabł“. Tak przynajmniej opiewają specjalne sprawozdanie handlowe, jakkolwiek na rynkach europejskich wpływu owego osłabienia nie znac prawie zupełnie. W Gdańsku utrzymały się ceny z tygodnia poprzedniego, na targach zaś warszawskich tak się, z ostatnich dni, przedstawiają:

Na placu Witkowskiego płacono pszenicę wyborową 7.00—7.10, średnią 6.50—6.80, ordynaryjną 6.00—6.10. Żyto wyborowe płacono 3.80—3.90, średnie 3.60—3.70. Owies dobry 2.40—2.50, gorszy 2.20—2.30.

Na stacyi Praga pszenicę wyborową płacono 115—118, średnią 109—112, ordynaryjną 98—103. Żyto wyborowe 66—69, średnie 63—65, ordynaryjne 60—61. Owies wyborowy 68—75, średni 61—67, ordynaryjny 56—59 kop. za pud.

W handlu w ełną — cisza. Nie ulega jednak żadnej nieomal wątpliwości, że ceny na tegorocznym jarmarku S to Jańskim nie tylko nie będą niższe od cen zeszłorocznych, ale owszem mogą pójść znacznie wyżej.

Handel o kowitą ożywił się nieco. W Hamburgu ceny wyższe, a na rynku warszawskim również lepiej się dzieje. Według danych ostatnich płacono za garniec w sprzedaży hurtowej, 2.64—2.66, w detalicznej 2.69—2.70.

Na targ prazki dostawiono w tygodniu ubiegłym około 1,600 sztuk wołów. Ceny były różne: od 65 do 110 rubli za sztukę, co na wagę żywą czyniło od rs. 2 kop. 60 do rs. 2 kop. 80 za pud. Po takiej też cenie sprzedane zostały za pośrednictwem redakcyi „Rolnika i Hodowcy“ dwie partye wołów jedna z Lubelskiego, druga z gub. Podolskiej.

Na targach żywnościowych ukazujące się młode jarzyny dosyć są drogie. Kartofle nowe naprzykład sprzedają się po 16—17 kop. funt. Nabiał w ogóle tani. Masło bez soli płaci się 28 do 36 kop. funt.

Jedyna specyjalna Fabryka Ozdób Kościelnych
Karola Szonert (52-19)
w Warszawie, — Leszno Nr. 62.

KRÓLOWIE POLSCY

dla młodzieży, poczet z 43-ch portretów litogr. podług rysunków T. Maleszewskiego, z tekstem, do nabycia we wszystkich księgarniach i w Redakcyi „Roli“, w ozdobnej oprawie lub na wielkim arkuszu, całość poczet rs. 2 kop. 50. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Nowo otworzona Fabryka Polska TKANIN METALOWYCH

oraz

wszelkich Wyrobów Drucianych (52-12)

E. CHRZANOWSKIEGO,

W WARSZAWIE,

Bieleńska 16 (12) dom p. Zawiszy.

Poleca: Siatki ochronne przeciw muchom i wszelkim owadom, przy otwarciu okien, Siatki druciane dla fabryk papieru, cukrowni, krochmalni, cykoryi, cementu, młynów, suszarni, dla browarów, gorzelnii. Wszystkie przybory pszczelnicze. Sita do koniczyzny białej i czerwonej, specjalnie przemyślane ulepszone, które oczyszczają babkę, kaniankę i szczawik; za sita te, mimo konkurencji, ja jeden zostałem zaszczycony nagrodą. Cena trzech sit do koniczyzny czerwonej rs. 3 kop. 70, a trzech sit do białej rs. 3 kop. 80. Sita do czyszczenia wszelkich sboż z groszku, kakułu i kostrzewy. Liny do transmisji. Materace druciane, elastyczne do łódek, arfy do ziemi i zwirow, cylindry do czyszczenia zboża i rafy, oraz wszelkie wyroby galanterijne, manekiny do upinania sukien, tak druciane jak i paryskie od rs. 4, które się rozsuwają podług wzrostu i tuszy. Pudła francuzkie do noszenia sukien. Fabryka przyjmuje ogrodzenia ogrodów i kłobów oraz płotów drucianych, po cenach nader niskich

WYDAWNICTWA LUDOWE

Janka Mrówki (Jana Jeleńskiego)

- 1) Odpowiedź ciekawemu Kubie, czem dzisiejszy wieśniak być może i powinien (wydanie drugie) kop. 5 1/2
- 2) Jakby się wieśniacy mogli rządzić w gminach (wyd. drugie) „ 7 1/2
- 3) Narada z Kubą, jakby sobie radzić bez żydów „ 7 1/2
- 4) Pogadanki w karczmie „ 7

Nabywać można we wszystkich księgarniach.

Skład główny w Czyteln. J. Jeleńskiego, Nowy Świat Nr. 4.

Dep. Przem. i Hadn., St. Petersburg, N. 1360.
Wiedeń Nr. 4932—Budapeszt Nr. 1528.Broszurka
bezpłatnieGwarancya
15-letnia

„EXSICCATOR“

Osuśa wilgoć w domach, zabezpiecza drzewo od GNICIA i Grzybka. Dezynfektuje. Zastępuje OLEJNĄ FARBĘ.
52-18 Inżynier Ritter, Królewska 39.

Dla p. p. Właścicieli Lasów.

Zupełnie nowe urządzenia, taksacye, lustracye lasów, oszacowania drzewostanów rębnych, sprzedać się mających, pomiary, uwalnianie od serwitutów, przeprowadza Technik leśny, egzaminowany, według najlepszych zasad teoretycznych i praktycznych pod gwarancją. Ewentualnie przyjmując może Zarząd lasów i Dóbr. Łaskawe oferty przyjmuje W-ny Kołakowski w Korytnicy—O. p. stacya Chęciny Drogi Żelaznej Iwangrodzko Dąbrowskiej. (6—6)

SKŁAD GŁÓWNY HERBATY KARAWANOWEJ

Moskiewskiego Domu Handlowego

B. KLIMUSZYN (9—9)

ul. Niecała Nr. 4.

Poleca wyborową Herbatę pakowaną w Moskwie w 1/1, 1/2, 1/4 i 1/8 fun. oraz w pudełkach metalowych i drewnianych.

Czarną od rs. 1 kop. 60 do 3 rs.

Kwiatową od rs. 2 kop. 50 do 7 rs.

którą również nabywać można w znaczniejszych składach kolonialnych w Warszawie i na prowincyi.

Czytelnie Nowości JANA JELEŃSKIEGO.

Jedna NOWY ŚWIAT Nr. 4.

Druga BIELAŃSKA Nr. 9 (hotel Paryzki).

Obejmują przeszło już 18,000 tomów dzieł wyborowych najświeższych, belletrystycznych i naukowych, w językach: polskim, rosyjskim, francuzkim, niemieckim i angielskim.

Każda nowość ukazująca się w handlu księgarskim, przybywa równocześnie do Czytelni w paru lub kilku egzemplarzach. Pisma peryodyczne udzielają się do czytania bez osobnej dopłaty.

Osoby zamieszkałe na prowincyi mogą abonować książki lecz tylko przez okazyę, za wniesieniem kwartalnej (rs. 2 lub półrocznej (rs. 4), opłaty i złożeniem odpowiedniej kaucyi. Katalogi drukowane udzielają się abonantom bezpłatnie.

SKŁAD PAPIERU materiały piśmienne i rysunkowe, Drukarnia pośpieszna, oraz Kantor Gazet i pism peryodycznych wychodzących w Warszawie, z Ekspedycją tychże na prowincję

St. Winiarskiego

w WARSZAWIE, NOWY-SWIAT Nr 62.
(Marki pocztowe za Gazety, przyjmują się jako gotowizna.)